Nr. 37. Lwów — Czwartek dnia 14 Lutego. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na prowincyi. . . . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Dziś: rz. k. św. Walentego | gr. k. Stritenje Hosp.
Jutro: rz. k. św. Faustyna | gr. k. Symeona i An.
Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.
Wschód słońca g. 7 m. 17
Zachód „ „ 5 „ 13
Długość dnia g. 9 m. 56
Przybyło dnia od wczoraj m. 2

Przegląd polityczny.

Lwów 13 lutego.

W petersbuskim *Gońcu Rządowym* pojawił się 7. b. m. ukaz bardzo ważny dla rosyjskich rolników, a nieobojętny także, jak przypuszczać można, w ogóle dla handlu zbożowego w Europie. Ukaz poleca władzom wojskowym i cywilnym zakupić wprost od rolników mnóstwo zboża na zapas dla magazynów intendanckich i gminnych w całej Rosyi. Zasady tego zakupu już są opracowane przez specyalną komisyę, więc wykonanie ukazu zapewne rozpocznie się niebawem. W Rosyi istnieją spichrze gromadzkie, które na mocy ustawy państwowej powinny zawsze zawierać przepisaną ilość zboża, na wypadek głodu lub nieurodzaju. Teraz są one prawie puste z powodu klęski rolniczej, jakiej Rosya doznała przed dwoma laty. Chłopi nie są w stanie odrazu zapełnić tych spichrzów, więc skarb państwowy przyjdzie im w pomoc, a co teraz wyda na uzupełnienie składów, to gminy zwrócą mu powoli, rocznemi ratami. Magazyny intendanckie także się napełnią ziarnem w ilości większej, niż zwykle potrzeba. Nie wiadomo, ile w ogóle rząd w ten sposób zakupi, w każdym jednak razie ta operacya przeprowadzona będzie na taką skalę, aby nadmiar podaży odciągnąć od rynków i przez to wywołać zwyżkę cen zbożowych. Zapewne więc rząd wtedy przestanie kupować, kiedy efekt jego akcyi będzie osiągnięty, t. j., gdy się ceny podniosą. Niezawodnie dlatego ukaz z góry nie postanawia, ile ma być kupiono zboża na rzecz skarbu. To postanowienie rządu rosyjskiego, chociaż bardzo korzystne dla rolnictwa, nie jest ani czysto filantropijne, ani ryzykowne. Po cenach bardzo umiarkowanych, rząd nabędzie potrzebny mu materyał, który na mocy ustaw zawsze znajdować się powinien w spichrzach gromadzkich, a jeśli więcej, niż zwykle nabędzie dla składów intendanckich, to i to się w swoim czasie zużyje, a zawsze korzyść zostanie ta, że nabytek będzie tani. Więc nie ma tu filantropii, która ze stanowiska ekonomicznego nie przedstawia wartości. Nie jest to podobne do niedawnego zarządzenia rządu greckiego, który chcąc podnieść cenę korynckich rodzynek, zakupił ich ogromne masy i w morzu zatopił. Również nie jest ryzykowną ta akcya rosyjskiego rządu, to znaczy, że nie ma obawy, aby teraźniejsze zakupy na rzecz skarbu były droższe, niż mogłyby być, gdyby kupiono tyle jeno, ile na razie potrzeba, a resztę później, po cenach jeszcze niższych, bo takich niższych cen prawdopodobnie nie będzie. Nadprodukcyi zboża bynajmniej nie ma, owszem w porównaniu z poprzedniemi latami jest pewien niedostatek. Głównym producentem, obniżającym i w ogóle regulującym ceny zbożowe, są Stany Zjednoczone. Indye już przestały być postrachem, zaś australijska ziemia, w skutek rabusiowskiej gospodarki, wyjałowiała tak prędko, że daje z hektaru tylko trzy korce pszenicy, a ponieważ tam trzy i pół milionowa ludność uprawia tylko 4 miliony hektarów, przeto ma tego ziarna tylko na własne potrzeby i na sprzedaż najbliższym sąsiadom. Dla ocenienia sytuacyi zbożowej w Europie, dość tedy uwzględniać wpływ produkcyi Stanów Zjednoczonych. Otóż one wyprodukowały milionów buszli: w roku 1892 — 242, w r. 1893 — 238, w r. 1894 — 256, dostarczyły zaś do Europy z pierwszego z tych trzech zbiorów 10 milionów quarterów, z drugiego — 9 milionów 160 tysięcy, a z trzeciego 9 milionów 677 tysięcy. Wszystkie te cyfry zaokrągliliśmy, odrzucając setki i dziesiątki quarterów. Otóż z tych danych wynika, że największy dowóz był przed dwoma laty, a najmniejszy w roku przeszłym, tymczasem ceny zbożowe na rynku największego konsumenta, t. j. na angielskim rynku, były: 31 szylingów w r. 1893, 27 szyl. 3 pensy w r. 1894, a 24 szyl. 6 pensów teraz za quarter. Zatem nie ma żadnej logicznej proporcyi między ceną zboża a jego podażą. Można to wytłómaczyć jeno po części niektórymi krachami bankowymi w Berlinie, Hamburgu i Londynie, w skutek czego osłabła energia świata handlowego; głównie jednak tłómaczy się spekulacyą: widząc trudną sytuacyę rolników, wielcy kupcy zwlekają zakupy, aby od zniecierpliwionych i przyciśniętych do muru ziemian nabyć ich produkcyę jeszcze taniej. Z natury rzeczy, podaż zboża w miesiącach zimowych jest wielka, kupcy zaś nabywają tylko na potrzeby bieżące, a o wiosennych i letnich zapasach teraz nie myślą, tłómacząc się niejasną sytuacyą targu amerykańskiego. Ale ten argument jest słaby, bo z nowo-yorskich, bardzo zawsze dokładnych wykazów biura Bradstreeta wiadomo, że producenci amerykańscy mają niesprzedanego zboża jeszcze tylko 114 milionów buszli, czyli zapas tak stosunkowo nieznaczny, że na poniżenie cen wpłynąć nie może, albowiem o tym samym czasie to zapasy u producentów amerykańskich wynosiły w r. 1890 — 156 milionów, w 1891 — 112 mil., w 1892 — 171 mil. w 1893 — 135 milionów buszli, — zatem zapasy większe od teraźniejszych, a jednak ceny ówczesne były wyższe. Trzeba tedy upatrywać przyczynę teraźniejszej stagnacyi, braku kupców i ceny, jedynie w wyrachowaniu spekulantów, albo może w ich obawie ryzyka, która powstrzymuje ich od zakupów na wiosenne i letnie potrzeby konsumcyi.

Otóż rząd rosyjski, stanąwszy na rynku zbożowym jako wielki kupiec, musi wywołać ruch handlowy, który oczywiście okaże się w Rosyi, ale to niezawodnie oddziała i na sąsiednie kraje. Zapewne spekulanci będą musieli wyjść z rezerwy, boć zapasów na wiosenną i letnią konsumcyę potrzebują, a skoro już mają konkurenta w rządzie rosyjskim, to zaczną z nim rywalizować. Jakoż już widać pewien ruch zwyżkowy na targu zbożem.

Mniej więcej przed rokiem pisaliśmy na tem miejscu o kuli skonstruowanej przez szwajcarskiego balistyka Heblera, o której on powiedział, że choć wynalazku jego nie chce nabyć żaden rząd, to jednak do lat siedmiu wszystkie armie zaopatrzą się w jego kule, a która armia uczyni to prędzej, ta nad innemi będzie miała ogromną przewagę. Wszyscy przyznawali racyę Heblerowi, że jego kula jest znakomita, ale wątpili, aby była zastósowana, bo wszystkie rządy, mając ogromnie wyśrubowane budżety wojenne, okazują żywą niechęć do wynalazków, wymagających nakładu. Powstała między rządami jakby umowa: nie korzystać z wynalazków dopóki się da. Oczywiście, że skoro jeden rząd zastosuje u siebie jakiś dobry wynalazek, to inne wcześniej czy później muszą zrobić to samo. Otóż mniemano, że heblerowskiej kuli żadna armia nie zastosuje, nie dlatego żeby była niedobra, ale żeby uniknąć kosztów. Tymczasem stało się inaczej. *L'Echo de l'armée* donosi, że po długich i nader gruntownych próbach uznało ministeryum wojny Stanów Zjednoczonych, że kula heblerowska jest arcydziełem, którego nie prześcignie żaden nowy wynalazek i że zatem trzeba ją zaraz wprowadzić do armii Stanów. Fabryki północnoamerykańskie już otrzymały obstalunek rządowy, więc odpowiednie sprawią maszyny, a ponieważ wolno im wyrabiać także na sprzedaż każdemu kupcowi, przeto ta nowa broń znajdzie się w południowej Ameryce, a także u Kabylów, Sudańczyków, Madagaskarów i wszelkich innych dzikich narodów, z którymi państwa europejskie miewają zatargi. Odkąd tedy ta broń będzie wyrabiana fabrycznie i sprzedawana masami, stanie się koniecznością zastósować ją w europejskich armiach i tak się sprawdzi przepowiednia Heblera.

Zresztą koszta tej innowacyi nie będą nadzwyczajnie wielkie, bo idzie tylko o zmianę kształtu kuli. Rzecz w tem, że lecąca kula natrafia na silny opór powietrza, w skutek czego leci nie tak daleko, jakby mogła, niedość regularnie i bije słabiej, niż powinna, choć doprawdy aż nadto silnie. Hebler tedy odlał stalową kulę z kanalikiem wzdłuż jej podłużnej osi, a na zewnętrznej powierzchni dał występy, które są oblane ołowiem. Ten ołów wciska się w nacięcia istniejące wewnątrz lufy i to daje kuli ruch regularny już w karabinie, a ten ruch ona i potem zachowuje. To nie jest nowością, owszem, jednym z dawnych i powszechnie zastosowanych wynalazków. Nowością jest tylko nieco odmienny sposób przymocowania ołowianej powłoki do stalowej powierzchni kuli, oraz ów kanalik, idący wzdłuż jej podłużnej osi, a służący do przepuszczania powietrza, które się ściska przed lecącą kulą i ruch jej utrudnia. Taka kula leci podobno dwa razy dalej i bije z siłą znacznie większą, a jest tak lekka, że żołnierze mogą nosić podwójną ilość naboi. co jest okolicznością ogromnie ważną.

Angielskie dzienniki donoszą, że w Turcyi wydano poufny rozkaz mobilizacyi rezerwy. Nikt napewne nie wie, jaka jest przyczyna tego zarządzenia, są tylko różne domysły, więc najpierw, że Rosya na pograniczu kaukazkiem zgromadziła spore siły, co zaniepokoiło Portę; więc następnie, że w Syryi wybuchło powstanie; więc w końcu, że Porta przypuszcza, iż rząd bułgarski zechce poprawić swą reputacyę w kraju przez podniesienie kwestyi macedońskiej. Wszystko to bardzo nieprawdopodobne. Ciekawe jest jednak to, że urzędowe biuro telegraficzne „Agence de Constantinople“, przecząc pogłosce o niepokojach w Syryi, milczeniem pomija doniesienie o mobilizacyi rezerw.

Korespondencye.

Wiedeń 10 lutego.

W sprawie ograniczenia kompetencyi giełdowych sądów polubownych toczą się od niejakiego czasu bardzo namiętne dyskusye zarówno w prasie tutejszej, jak i w towarzystwach fachowych.

W towarzystwie austryackich ekonomistów zwłaszcza przyszło do rozpraw nadzwyczaj zajmujących na ten temat, w ciągu których docent Ehrlich wykazywał całą niejasność i niepewność sądów giełdowych. Tylko dzięki tym sądom, twierdził mówca, możliwe jest w ogóle to, że grze na giełdzie oddają się prywatni, nienależący do giełdy spekulanci. Ustawodawstwo całej Europy orzekło, że pretensyi z gry na giełdzie dochodzić nie można w drodze sądowej. Sąd polubowny zasądza jednak każdego, który się w jakikolwiek sposób poddał jego juryzdykcyi, bez względu na to, czy jest członkiem giełdy, czy nie. Gdyby spory toczyły się tylko o sprawy rzeczywistego kupna i sprzedaży towarów, a nie o spekulacyjne transakcye, sąd polubowny miałby jeszcze jakieś uprawnienie, choć zaprzeczyć się nie da, że szeroka publiczność nigdy nie może mieć silnej wiary w bezstronność sędziów, którzy wszyscy są członkami giełdy i korporacyi swej bronią przeciw nienależącym do niej pozwanym, czy pozywającym. Ale nadto chodzi w tych sporach zbyt często o pretensye zrodzone ze spekulacyi i natury bardzo wątpliwej. Dr. Ehrlich przytaczał, że wedle ogłoszonych w *Allgemeine Juristen Zeitung* faktów, wyrokami giełdowego sądu polubownego zasądzono pewnego studenta na zapłacenie 100.000 zł. straconych na spekulacyach, że pewien prawnik wychowany w akademii Teresiańskiej, zastrzelił się po wyroku zasądzającym go na 20.000 zł., że pewien oficer landwery skazany został na zapłacenie ceny 4 tysięcy centnarów metrycznych cukru (choć przecież w armii nikt cukrem nie handluje!) itd. Fakta te okazały się wprawdzie nieco przesadzonemi po wyjaśnieniach, złożonych na onegdajszem zgromadzeniu w Towarzystwie przez członków sądu polubownego, którzy co do owego wyroku na kwotę 100.000 zł. nic sobie przypomnieć nie mogą, a o elewie akademii Teresiańskiej zapewniają, że żyje i nie miał powodu się zabić, gdyż po pierwszym terminie przed sądem umorzył w drodze ugodowej sprawę ze swym przeciwnikiem. Mimo to jednak wywody dra Ehrlicha są zupełnie słuszne. Kupcy należący do giełdy pewni są swego sądu, tworzą więc kartele i ringi. Sądy państwowe za złamanie kartelu nie mogłyby nikogo zasądzić, sąd polubowny giełdy zaś wydaje wyrok w obronie zmowy kupieckiej ze szkodą dla szerokich warstw konsumentów.

W ten tylko sposób utrzymał się przed kilku laty ring handlarzy kukurudzy i owsa.

Szybkość w wydawaniu wyroków jest z pewnością uznania godną, ale ma ona także swoją bardzo niebezpieczną stronę. Jeśli jakiś członek giełdy przestaje płacić, to pretensyi bardzo wątpliwych z jego transakcyi spekulacyjnych dochodzić na nim można na podstawie wyroków sądu polubownego tak szybko, że dla innych wierzycieli, którzy muszą w sądach państwowych swoje sprawy przeprowadzać, nic nie zostaje. Za różnice kursowe z zakupna rzepaku, lub sprzedaży owsa zagrabia się dłużnikowi wszystko w ciągu dni kilku, a uczciwy wierzyciel, który go może w największej nędzy poratował i pożyczył mu swój ciężko zapracowany grosz, dochodzić może swych pretensyi na księżycu.

Obrońcy giełdowych sądów polubownych powołują się na to, że instytucya ta jest wzorową, że w Wiedniu w ciągu lat 20 rozsądzał sąd giełdy towarowej 6000 wypadków, a ani jednego wyroku jego wyższa instancya nie zmieniła, że pięćdziesiąt pięć procent wypadków załatwiono w drodze ugody, że sądownictwo to jest nadzwyczaj tanie, sprawiedliwe i wygodne, że wreszcie żadna reforma państwowa zastąpić go i wyrugować nie potrafi. Próby pod tym względem podjęte we Węgrzech skończyły się przywróceniem sądów polubownych na żądanie członków giełdy, rolników, kupców i chłopów. Utrzymują także obrońcy sądów giełdowych, że gdyby w r. 1873 istniał był w Wiedniu sąd polubowny, klęska po krachu byłaby o wiele mniejsza. Przed sądami zwykłymi bowiem każdy zapozwany o różnice kursowe lub inne pretensye uciekał się do zarzutów przewlekających w nieskończoność sprawę. Nie giełda, wedle ich twierdzenia, ale rząd domagał się wówczas stworzenia sądów polubownych. Wreszcie powołują się ci obrońcy na to, że jakoby 95 procent spraw, rozpatrywanych przed sądem giełdy, dotyczy nie spekulacyi, ale transakcyi rzeczywistych, że w skutek tego sąd ten broni punktualności i ścisłości w dopełnianiu zobowiązań kupieckich i stał się niemałym bodźcem do rozwoju całych gałęzi przemysłu.

Może być, że w tej obronie instytucyi jest niejedno co na uwzględnienie zasługuje. Pytać się jednak musimy, dlaczego członkowie giełdy tak bronią prawa wyrokowania o sprawach czysto spekulacyjnej natury, kiedy tworzą one tylko 5 procent procesów? Wszak państwo, ludność jego, przemysł i handel nie mogłyby nic na tem ucierpieć, gdyby tak mały stosunkowo procent spraw odpadł zupełnie z pod jurysdykcyi sądów polubownych! Dlaczego dalej sądy polubowne wyroki wydawać mogą wprost sprzeczne z duchem ustawy państwowej i z rozpowszechnionem wśród ludności przekonaniem o sprawiedliwości. Jeśli skarżyć nie można w sądzie handlowym z powodu różnic giełdowych, to i w sądach polubownych nie powinno się wyroku wydawać w takich sprawach. Jeśli wedle ustawy cywilnej nie obowiązują nikogo zmowy i kartele, to i sąd polubowny nie powinien nikogo zmuszać do dotrzymywania kartelów i zmów. A to jest środkiem ciężkości kwestyi całej. Sądy polubowne nie powinny stwarzać praw wyjątkowych dla kupiectwa.

Otwarcie parlamentu.

Londyn 5 lutego.

Starożytnym obyczajem, zachowywanym od dni spisku prochowego Gwidona Fawkes'a, dziś zrana odbyła się skrzętna rewizya wnętrza i podziemi westminsterskiego gmachu parlamentarnego. Pod komendą szambelana koronnego, lorda Carringtona, dziesięciu żołnierzy ze straży królewskich pałaców, czterech marszałków czyli woźnych Westminsteru i kilku inspektorów policyi zeszło z latarniami do piwnic pod izbą lordów i izbą niższą, zabawiło tam zaledwie pięć minut i wróciło z orzeczeniem, iż „szlachetne izby mogą zasiadać i obradować bezpiecznie.“

Choć posiedzenie izby niższej miało się zacząć dopiero przed 2-gą, już od godziny 7-ej zrana schodzili się członkowie, by na obranych miejscach zostawić swój... kapelusz. Gdzie kto zostawił swój kapelusz, tam już jego miejsce w izbie aż do końca sesyi. O g. 1½ izba była pełna, z wyjątkiem ławy ministeryalnej, zajętej tylko przez trzech członków gabinetu i przeciwległej ławy naczelników opozycyi (byłych ministrów), całkiem próżnej. Wkrótce, poprzedzony przez swoich lokai i przez „sierżanta wielkiego berła“ gmin, wszedł do sali marszałek (*Speaker*), w stroju parlamentarne-urzędowym: czarnem ubraniu dworskiem ze szpadą, w upudrowanej peruce i długim, czarnym płaszczu, którego ogon niósł specyalny do tej funkcyi urzędnik. Za marszałkiem postępuje (bo codzień podczas sesyi odbywa się to wszystko tak samo) kapelan jego i izby niższej, arcydyakon Farrar w stroju liturgicznym.

Po modlitwach, od których codzień zaczyna się posiedzenie, marszałek stanął przed swojem krzesłem i zaczęła się przed nim defilada wszystkich posłów: każdy, przychodząc do marszałka, ściskał z nim ręce. Po tej ceremonii przywitalnej czekała izba kilka minut na zjawienie się u baryery — „czarnej laski“. W parę minut po 2-ej woźny zapowiedział od drzwi zbliżanie się „czarnej laski“ — i urzędnik tak tytułowany (zwykle pozasłużbowy oficer), w stroju dworskim, w peruce, ze szpadą u boku i z długim, czarnym drążkiem w prawej ręce stanął u baryery na to, by zawołać: „Jej majestat, królowa wzywa swoje wierne gminy do wysłuchania orędzia.“ Poczem ruszył z krzesła marszałek ze swoją świtą, poprzedzony berłem, a kto chciał, ruszył za nim.

Tymczasem, barwniej i weselej wyglądała karmazynem wybita izba lordów. Tron królewski odkryto. Na ławach, stojących amfitea

---

19)

W PŁYTKIM PRĄDZIE

POWIEŚĆ

przez *Nagodę.*

(Ciąg dalszy).

XIII.

— Tolu, czy pójdziesz dziś po mszy na wystawę obrazów?

— Pójdę jeśli tatko będzie łaskaw mi towarzyszyć.

Tak, bezwątpienia, ona musiała być dzisiaj na wystawie sztuki, wieczór na koncercie zagranicznej śpiewaczki, jutro na teatralnej premierze, wszędzie, gdzie mógł ją zobaczyć Edmund, wszędzie, gdzie ona jego mogła zobaczyć, skinąć mu głową z obojętnym uśmiechem, zwrócić się do niego z wesołym żartem.

Och, nigdy w życiu nie daruje sobie, że wczoraj zdobyła się na takie drżące, nieśmiałe zapytanie: „Pan zostaje jeszcze?“

Na samo wspomnienie tej chwili czuła w ustach smak gorżki i zdawało jej się, że nie ma takiej ciężkiej ofiary, jakiejby nie poniosła, byle tę chwilę okupić, zatrzeć ją w pamięci swojej i jego.

Dlatego to z takim gorączkowym pospiechem biegła w świat, między ludzi — choć byłaby dała rok życia, żeby teraz pozostać samą.

— Chodźmy już ojcze — rzekła, biorąc książkę do nabożeństwa i próbując sił własnych w pierwszym uśmiechu, wywołanym na usta gwałtem, ale rozpromieniającym jej twarz tak samo, jak wszystkie najradośniejsze prosto z serca płynące uśmiechy.

Kilka nowonadesłanych płócien zgromadziło dziś na wystawie liczniejsze niż zazwyczaj towarzystwo; tłumno było w małych salonikach, ale większa część zgromadzonych stojąc na środku, obrócona plecami do obrazów, gawędziła wesoło i głośno o wszystkiem, tylko nie o sztuce i artystach. Tu i owdzie jakiś wysoki student pozujący na znawcę, lub stary konsyliarz wyczekujący z zegarkiem w ręku godziny obiadowej, oddawali się kontemplacyi przed obrazami, rzucając w gwar panujących dokoła rozmów słowo ostrej krytyki lub banalnej pochwały; ogół nie silił się nawet udawać, że go malarstwo choć trochę obchodzi. Szczęśliwsi znajomi zbierali się w grupy i zamiast krytykować obrazy, krytykowali swoich bliźnich — na tem też polu nie można było im odmówić znawstwa i niezmiernie bystrego rzutu oka.

Wczorajszy *five o'clock* u Zdzisławów, licznie tutaj reprezentowany wrzał gwarem i śmiechem po nad wszystkie inne kółka; ale bo też nielada kwestyą poruszono właśnie: chodziło o amatorskie przedstawienie, którego inicyatorka, panna Jela Brańska, trzepała się, śmiała i dziecinniła tak głośno, że patrzącym na nią z boku mogło się wydawać, że ona już daje przedstawienie i wywiązuje się wcale zgrabnie z roli pierwszej naiwnej.

— Sztuka wyborna! mamuńcia wszystko powykreślała: kulisy pożyczymy z teatru; p. Zoro obiecał, że będzie grać jak Kotarbiński, no a Modrzejewskę już także mamy, bo prawda Tolusiu, że ty nam nie odmówisz? ty tak ślicznie deklamujesz i taka jesteś podobna do Modrzejewskiej! musisz być wyborną aktorką.

Twarz panny Jeli płonęła tak szczerym zapałem, że nikt nie byłby mógł w jej słowach dopatrywać się jakiejś złośliwej intencyi, a tem mniej Tola, która nie będąc sama ani trochę złośliwą, nigdy nie posądzała o to drugich. W słowach towarzyszki zastanowiła ją tylko jej propozycya — czy miała przystać na nią i odjąć się udziału w graniu teatru? czy mogła się tego podjąć teraz, kiedy każda minuta spędzona w tym wesołym gwarze dręczyła ją jak tortura?

— No cóż Toluś, przystajesz?

— Przystaję.

— Słowo? — panna Jela z kawalerskim rozmachem wstrząsnęła ręką towarzyszki i szczebiotała dalej:

— Rolę będziesz miała cudowną! w niektórych miejscach nawet trochę dramatyczną, ale co ci to szkodzi? Jestem pewną, że wszystko doskonale się powiedzie, bo najgłówniejsze role składamy w ręce takich artystów jak ty i pan Zdzisław.

Tola drgnęła i nawet przejrzysta osłona tiulowego welonika nie zdołała całkiem ukryć jej nagłego rumieńca.

— Co do mnie.... ja wcale nie jestem pewną czy potrafię grać... a raczej... jestem przekonana, że będę źle grała — zrobiłabyś mi wielką łaskę, gdybyś mnie zwolniła.

— Jakto Tolu, już się cofasz? — wykrzyknęła ze zgrozą panna Jela, podczas gdy stojący obok pan August zanucił lekko:

„La donna e mobile!“

— Bo doprawdy... ja wam gotowam wszystko popsuć.

— Pani!... chciał z cicha zaprotestować Emil Jencki, ale nim się zdobył na ciąg dalszy, panna Jela zabrała głos.

— Nie ma o czem mówić, dałaś słowo, że będziesz grała, i ja nie myślę cię zwalniać. Nie dróż się tak, ma chérie, bo gotowiśmy pomyśleć, że nie jesteś zadowolniona z twego partnera — znowu pełen dziecięcej dobroduszności uśmiech rozjaśnił twarzyczkę Jeli — a przecież pan Zdzisław gra przepysznie — ach, otóż i on.

Rzeczywiście Zdzisław zjawił się w drzwiach pierwszego saloniku; Jela wybiegła na jego spotkanie.

— Witamy pana! — proszę sobie tylko wyobrazić, że Tola nie chce z panem grać, *elle fait des façons.*

— Czy naprawdę?

— Nie, to tylko na żart, dla przestraszenia Jeli; — na głębokie, przenikliwe spojrzenie towarzyszące pytaniu Zdzisława niepodobna było odpowiedzieć inaczej jak przeczeniem i swobodnym uśmiechem — to była jedyna droga otwarta przed Tolą. Zresztą dlaczegożby nawet ze Zdzisławem grać nie miała? Czuła się w tej chwili tak odważną, tak nie lękającą się już niczego.

— Niech pani przyjmie wyraz mej głębokiej wdzięczności — rzekł Zdzisław, i wyciągnął do niej rękę, jakby na zatwierdzenie umowy — gest był zanadto jawny, aby go można nie widzieć lub umyślnie pominąć i Tola pod naciskiem tylu otaczających ją oczu, dotknęła swemi paluszkami tej wyciągniętej dłoni — paluszki przytrzymano przez jedno mgnienie oka prawie gwałtem, gdy je wreszcie właścicielka zdołała cofnąć i zmięszana odwróciła trochę głowę, spotkała się ze spojrzeniem Edmunda Dziewońskiego.

Stał przy wejściu od sekundy dopiero, czy może już od kilku minut? Tola nie wiedziała i nie ta myśl uderzyła ją najpierw, tylko pytanie, po co przyszedł? jaki magnes pociągnął go tutaj, gdzie mógł być pewnym, że w tej godzinie zastanie wszystkich, a zatem i ją także; tutaj gdzie tylokrotnie spotykali się już, po co przychodził dzisiaj?

Całonocna prawie przechadzka między ścianami własnego pokoju uspokoiła nieco uniesienie Edmunda i zmieniła kierunek jego myśli; do wspomnienia przykrej sceny zazdrości między małżonkami, której mimowolnym był świadkiem, dołączyło się wspomnienie Toli takiej, jaka przystąpiła do niego w chwili pożegnania, bladej i smutnie zdziwionej — głos jej słodki zwracający się do niego z pytaniem obojętnem niby, ale które ją przecie tak wiele kosztować musiało, przygłuszył w jego sercu echo głosu siostry, drgające oburzeniem i zawiścią.

— Oddaj mi tę fotografię Toli, którą od rana do wieczora nosisz na sercu, — dla mężczyzny słyszącego ten wykrzyknik w minucie poprzedzającej oświadczyny, były to słowa okrutne, ale czy należało ją czynić za nie odpowiedzialną?

Teraz budziła się w jego duszy obawa, czy on nawzajem nie okazał się okrutny i nierycerski względem tej, której tak wiele się po sobie spodziewać pozwolił — a poczucie własnej winy, czyniące nas zawsze pobłażliwszymi dla drugich, rzucało jakieś jaśniejsze blaski w tę gorycz i zwątpienie, jakie ogarnęło go od wczoraj.

Nie wiedział jeszcze jasno, co zrobi ze swojem i jej życiem, ale gnany popędem serca szedł na spotkanie tej bladej, zasmuconej twarzyczki, pragnął duszą całą uścisku tej nieśmiałej ręki, którą wczoraj odepchnął prawie od siebie.

Pierwszym obrazem, który uderzył jego oczy już w samym progu, był widok jaśniejącej uśmiechem twarzy i połączonych w uścisku rąk Zdzisława i Toli.

— Otóż i pan Dziewoński! brawo, jego nam tylko brakowało do kompletu. Panie Edmundzie, wszak pan się podejmie wyuczyć choćby maleńkiej, króciuteńkiej roli i zagrać ją u nas na imieniny mamy? *n'est ce pas, vous serez assez aimable?*

— Niestety nie, pani, już tak dawno przestałem się uczyć, że zaczynać teraz na nowo, byłoby nad moje siły, choć wiem, że pod wielu względami pozostałem niedouczony.

— Pod względem kurtuazyi na przykład, — roześmiała się Jela, — paniom nie powinno się odmawiać.

— Ja też mówię z wielką skruchą *mea culpa*, ale grać nie mogę, nigdy w życiu nie grałem.

— Szkoda! myślałam, że będziemy mieć same pierwszorzędne siły: Tola, pan Zdzisław, pan Żoro, pani Wilma.

— A pani jaką rolę grać będzie? — zwrócił się Edmund do Toli.

— O ja... każdą, jaką mi dadzą.

— To wiele, — zauważył Edmund i usunął się trochę na stronę z Augustem.

On nie czuł się jeszcze na siłach grania tu roli obojętnego; nie był w stanie rozmawiać z nią, patrzeć jej w oczy, jakby nigdy nic.

W salonach wystawy robiło się coraz puściej; nasi znajomi rozpierzchli się także, omówiwszy gdzie i kiedy zejść się mają na następną sesyę teatralną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

tralnie wzdłuż ścian po obu stronach od tronu — zasiadły najwyższe „porządki rycerskie“, czyli naczelnicy rodzin dziedzicznie uprzywilejowanych — od baronów do książąt. Ministeryaliści po prawej, opozycya po lewej. Dwie ławy po obu stronach, przeznaczone dla dygnitarzy kościelnych, mających głos w tej izbie, bielą się lnianemi komżami biskupów. Cztery ławy poprzeczne, stojące naprzeciw tronu, zajmują książęta krwi i ci parowie, którzy zaznaczają swoją neutralność między stronnictwami. W pośrodku między tronem (u stóp jego) a temi ławami, znajduje się rodzaj olbrzymiej otomany, nazwanej „worem wełnianym“ (*woolsack*) — siedzenie lorda-kanclerza Anglii czyli ministra sprawiedliwości. zarazem marszałka izby wyższej. Dzisiaj, wyjątkowo, gdzie tylko próżne były miejsca, zajęły je panie — żony, siostry i córki lordów — ciekawe posłyszeć orędzie! Zresztą, jest modą pań być na otwarciu sesyi parlamentu, jak jest modą być w galeryach akademii malarstwa w przeddzień otwarcia Salonu.

Osobę monarchini zastępuje specyalna królewska komisya. Wchodzi ona do przepełnionej sali, punktualnie o godzinie 2-giej. Składają ją: lord-kanclerz Hershell, lord-kanclerz mniejszej pieczęci, Tweedmouth; lord-ochmistrz służby dworu, Breadalbane; minister marynarki lord Spencer i lord Carrington, szambelan koronny. Dygnitarze ci, w imponujących strojach, perukach i płaszczach, z głowami nakrytemi trójgraniastymi kapeluszami, wstępują na pierwszy stopień i stają po obu stronach tronu, a na nim przewieszają ciemno-błękitny płaszcz królewski. „Czarna laska“ odchodzi i wkrótce wraca, poprzedzając „wierne gminy“. Te zatrzymują się u baryery. Wtedy wielki kanclerz odczytuje orędzie. Skończywszy, dodaje starożytną formułkę z czasów królów normandzkich: *La Reyne le veult* — komisarze kłaniają lekko głowę, „gminy“ odchodzą. Po ich odejściu odchodzą komisarze, by wrócić niebawem w ubraniu codziennem. I zaczyna się sesya — rozprawami nad odpowiedzią na orędzie.

Z naszej beletrystyki.

Beletrystyce naszej każdy bezstronny krytyk musi przyznać, że się w ostatnich czasach rozwinęła świetnie, i że nawet w porównaniu z literaturą europejską wcale nie na szarym końcu by się znalazła. Wprawdzie i dziś znajdują się u nas mętni teoretycy, chorujący na śledzionę, co to chcą zrobić z powieści jakiś dziwoląg, któryby nie był ani dziełem sztuki, ani rzeczą tendencyjną, a ponieważ nasza zdrowa literatura nie wyrodziła się w coś tak niedołężnego, więc powiadają, iż wszystko, co tworzą nasi powieściopisarze, to nic nie jest warte.

Takim malkontentom najlepiej byłoby dać w odpowiedzi do przeczytania wspomniany już przez nas drugi tom „Naszych powieściopisarzy“ Chmielowskiego. Z pracy tego krytyka, który należy raczej do zgryźliwych niż do pobłażliwych, — i często, powodując się doktryną, obejdzie się z autorem niesprawiedliwie, powieściopisarstwo nasze wychodzi obronną ręką i daje bardzo dodatni obraz. A wszakże Chmielowski w dwóch tomach swoich studyów nie zdołał dać nam kompletnego szeregu portretów naszych powieściopisarzy, nieznajdujemy tam sylwetek Dygasińskiego, Bałuckiego, Gawalewicza, Choińskiego, Rodziewiczówny, Kosiakiewicza i w. i., którzy obok naczelnej trójcy obecnej doby; Sienkiewicza, Prusa i Orzeszkowej, zdołali sobie pozyskać samodzielne a wybitne stanowisko.

Jednak już ten materyał, jakiego dotychczas dostarczył Chmielowski, pozwala nam rozejrzeć się krytycznie w naszej beletrystyce. A w drugiej seryi dzieła „Nasi powieściopisarze“ (gdzie z dawniejszych autorów są rozprawy o J. Korzeniowskim i L. Sztyrmerze), oprócz wspomnianej już przez nas sylwetki Bolesława Prusa, znajdujemy jeszcze dwa zajmujące studya o Sewerze i Junoszy i kilka krótkich dosadnych, nieraz bardzo surowych charakterystyk autorów, którzy około r. 1885 wystąpili na widownię, a z pomiędzy których wybieramy Zapolską i Zagórskiego, tych, co z ówczesnych debiutantów dziś naszej publiczności najwięcej są znani.

Zaczniemy od Klemensa Junoszy, którego Chmielowski bardzo wysoko stawia. Na niwie piśmienniczej pracuje Junosza od lat dwudziestu, a beletrystyczną działalność rozpoczął sztuką p. t. „Chłopski mecenas“, poczem w ciągu lat dziesięciu od zbiorku „Z mazurskiej ziemi“ (1884) do „Pająków“ (1894) zdołał napisać około 30 tomów, które uzyskawszy sympatyę publiczności, „nie były też nigdy przedmiotem dotkliwej i obniżającej wartości utworów krytyki“.

Junosza jest malarzem przedewszystkiem powszedniego szarego życia naszego „pełnego trudów, cierpień codziennych, nie usuwa się on od malowania jego szczegółów, ale nie okazał w tym względzie zamiłowań osobliwych, ani też nie posługiwał się namiętnem jednostronnem wpatrywaniem się w bolesne rany społeczne; od pesymizmu i ponurości ratował go humor, okazując mu obok smutnych i rzewnych, wesołe i komiczne rysy w charakterach ludzkich i stosunkach pomiędzy nimi. Nie poczucie bowiem tragiczności, lecz komizmu, leży na dnie talentu Junoszy“.

Rozpisując się następnie o humorze i dowcipie Junoszy, które mu taką popularność dały, pisze dr. Chmielowski: „Jakiego rodzaju jest ten dowcip? Ma on przedewszystkiem charakter staropolskiej jowialności, więc jest dobroduszny, chętnie do gromady ludzi ośmieszanych przyłącza samą osobę żartującego, ażeby tym sposobem odjąć przykry smak pigułki. Powtóre polega on nie na grze słów, coby stanowiło koncept jedynie, ale na takiem złączeniu wyobrażeń i pojęć, że obudza ono uczucie śmieszności“.

Za temi idą konsekwentnie inne cechy charakteru pisarskiego Junoszy. Jego wyobraźnię uderzają przedewszystkiem jaskrawe cechy zewnętrzne, charakteryzujące pewne grupy ludzi, „stąd też osobistości, w których te cechy są najwydatniejsze, należą do najprzedniejszych kreacyi naszego autora“. A zatem Junosza mistrzem jest niemal w przedstawianiu wszelkiego rodzaju oryginałów, chłopów, a zwłaszcza żydów, których zna jak nikt u nas.

„Junosza miał już przed sobą wiele i to różnorodnych w mniejszym lub większym stopniu świetnych przykładów malowania typów i jednostek żydowskich, ale nie poprzestał na kopiowaniu poprzedników swoich, wprowadził owszem do beletrystyki naszej dużo świeżych pierwiastków. Nie zadawalniając się obserwacyą bezpośrednią, poznał nawet żargon żydowski i literaturę w nim pisaną i streścił, lub przetłumaczył na polski parę jej utworów („Donkiszot żydowski“, „Szkapa“). W utworach artystycznych wyjątkowo tylko obchodzi się bez skreślenia postaci żyda. Narysował ich takie mnóstwo, jak żaden inny nasz powieściopisarz, a zawsze w każdej figurze dał jakiś odcień w poprzednich nieznany“.

Junosza pisał utwory dłuższe i krótsze. „Nowele i obrazki, pisane jednym rzutem, w krótkim przeciągu czasu, odznaczają się jednolitością, skupieniem, zaokrągleniem ostatecznem“. Natomiast w większych utworach, nieraz bardzo ładne części poszczególne łączą się tylko luźnie w całość i nawet ostatnia i jedna z najgłośniejszych jego powieści, słusznie zresztą tak czytane i chwalone „Pająki“, są „raczej galeryą, przedstawiającą różne odmiany typu lichwiarza, aniżeli jednolitą całością“. Ogółem wziąwszy, Junosza jest postacią oryginalną, samodzielną i bardzo dodatnią w naszej literaturze.

Sewerowi dostało się od Chmielowskiego wiele komplementów. W działalności jego krytyk rozróżnia trzy fazy: „egzotyczną, drugą — ludową, a trzecią — społeczną“. W egzotycznej pierwszem, a zarazem najlepszem dziełem są „Szkice z Anglii“, rzecz istotnie wyborna, i w powieściowej formie, dająca bardzo wyrazisty i wszechstronny obraz stosunków angielskich. Pobyt w Anglii dał Sewerowi sposobność do wielu jeszcze innych na tamtejszych stosunkach opartych utworów, a wśród nich Chmielowski szerzej rozwodzi się nad 4 aktową komedyą „Pojedynek szlachetnych“, o której Stanisław Koźmian po wystawieniu jej w Krakowie wyraził się, że ją „otacza jakaś niezwykła atmosfera zdrowego, orzeźwiającego powietrza, że jest to komedya, która podnosi godność człowieczeństwa“. Ogółem na tle, jak się Chmielowski wyraża „egzotycznem“, czyli na tle stosunków angielskich powstało u Sewera nadto sześć utworów, z których „Bratnie dusze“ są najlepsze, chociaż niedorównują „Szkicom z Anglii“.

Drugim okresem twórczości Sewera są powieści ludowe. Bo „Sewer — jak o nim pisze Alfred Szczepański, którego cytatami posługuje się Chmielowski — to dziecko roli, potem żeglarz na łodzi miotanej burzami. Następnie łódź poniosła go daleko do Francyi i za morze do Anglii, aż znowu, jak rozbitek, znalazł się na własnym brzegu. Rozglądać się zaczął i wrócił tam, skąd wyrósł, do roli. Osiadł na wsi, wśród ludu i wśród tego szlacheckiego społeczeństwa, które nie traci rezonu. Oto więc i rozwiązana zagadka i szkiców i noweli ludowych.“

„Sewer i Prus — pisze ze swej strony Chmielowski — byli u nas pierwszymi powieściopisarzami, co odtworzyli duszę chłopa i stosunki jego zewnętrzne wśród nowych warunków, jakie utworzyło uwłaszczenie. Obaj równie szczerze i z jednaką miłością na lud patrzyli, lubo bynajmniej nie zamierzali zakrywać wad jego i śmieszności. Obaj posługiwali się środkami realistycznymi, ale obaj rozjaśniali obrazy swoje promieniami poezyi.“ W porównaniu tem Chmielowski przyznaje naturalnie wyższość Prusowi, ale i Sewer stworzył w tym dziale tak piękne rzeczy jak „Łusia Burlak“, „Wiosna“ lub „Przybłędy“.

Trzeci okres twórczości pisarskiej Sewera, powieści społeczne, najdłużej zatrzymują przy sobie Chmielowskiego, którego do Sewera pociągają jego przekonania demokratyczne, lecz bynajmniej nie demagogiczne. Nam się jednakże zdaje, że powieści z tego zakresu po większej części pod względem artystycznym niżej stoją od poprzednio wspomnianych, a zwłaszcza ludowych. Najdłuższemu rozbiorowi podaje Chmielowski ostatnią powieść Sewera „Naftę“, lecz ponieważ recenzyę Choińskiego o niej drukowaliśmy już w swoim czasie, nie będziemy się nad nią rozwodzić. W ogólnej charakterystyce Sewera podnosi krytyk, że jest to autor „wolny od sentymentalności, pogodny, woli przedstawiać jaśniejsze strony życia, a przynajmniej oświetlać je częściej, niż ponure i groźne objawy, lubo i tych nie przeocza bynajmniej. Tym sposobem stanowi on kontrast dodatni względem tych kraczących pessymistów, których, jak na nasze potrzeby, jest trochę za dużo.“

Ponieważ u nas dotychczas głos powszechny uważa jeszcze panią Zapolską z powodu jej lubowania się w drastycznych tematach za „realistkę czystej krwi“, ciekawem jest przeczytać w „Debiutach literackich 1885“ jak Chmielowski te urojenia rozprasza i jak charakteryzuje p. Zapolską mówiąc: „Opisywanie scen lubieżnych i nagich nie jest jeszcze kwalifikacyą na zwolennika naturalizmu. Autorka nietylko realistką nie jest ale owszem bardzo często okazuje skłonność do melodramatu... P. Zapolska daleką jest nietylko od naturalizmu, ale wprost od jasnego, trzeźwego sposobu przedstawiania scen wziętych z obserwacyi lub wypowiadania myśli. Czytała widać dużo powieści i romansów bez żadnego wyboru i bez żadnej rozwagi krytycznej, w żywej wyobraźni utkwiło wiele pierwiastków powieściopisarskich, najsprzeczniejszych nieraz ze sobą; a ta właściwość umysłu odbić się oczywiście musiała i w jej utworach“, przyznaje jej jednak niemałe urozmaicenie formy. Jak więc widzimy, po dziesięciu latach charakterystyka ta równie dobrze przystaje do autorskiego dorobku p. Zapolskiej jak wówczas.

O Włodzimierzu Zagórskim, który w owym roku właśnie prócz od dawna uprawianej poetyckiej i publicystycznej, rozwinął żywszą powieściopisarską działalność, pisze krytyk, iż dowiódł on, że obserwacya zwłaszcza pewnych objawów życia miejskiego stanowi jedną z dodatnich stron jego talentu... „P. Zagórski nigdzie się nie unosi i nie piorunuje, a jednak ma w zapasie sąd ostry o lichocie moralnej...“ Jednakże przyznaje Chmielowski, że Zagórski się nie zasklepił w malowaniu stosunków miejskich lecz owszem jest pod względem wybierania sobie tematów zupełnie nieskrępowanym, co mu za niemałą zaletę poczytać należy.

Z niektórymi ówczesnymi debiutantami powieściopisarskimi, odszedł się Chmielowski bardzo surowo, n. p. z Heleną Obertyńską, Wandą z Dowgiłłów Trzcińską lub Michałem Wołowskim, co jednakże wcale nie świadczy na niekorzyść naszego piśmiennictwa, bo to już los wszystkich literatur wszystkich czasów, że obok najpotężniejszych autorów, miewały talenta słabe, lub nawet plagę pod postacią pisarków bez talentu!... Owszem, jak to już zaznaczyliśmy, „Nasi powieściopisarze“ Chmielowskiego, (i to jak obecnie wydana serya II, tak samo i dawniejsza serya I, gdzie między innemi jest portret literacki Sienkiewicza), składają dodatnie i pochlebne świadectwo naszej beletrystyce w ogóle, a specyalnie autorom, którzy właśnie teraz na tej niwie u nas pracują.

KRONIKA.

Lwów 13 lutego.

Cesarz, jako hr. Hohenembs, dążąc do Mentony, przejechał przez Włochy od Ali do Ventimiglii. W poniedziałek o pół do siódmej wieczorem stanął w Medyolanie, gdzie zabawił godzinę i w powozie zwiedził część miasta, a z rana na drugi dzień o godz. 11-ej przybył do Mentony. Ponieważ w poniedziałek o 9 z rana wyjechał z Lichteneggu pod Welsem, przeto jechał bez przerwy 26 godzin.

Na cyplu Św. Marcina pod Mentoną zabawi Cesarz pełne dwa tygodnie, a w końcu lutego będzie już w Wiedniu, Cesarzowa zaś pojedzie na Korfu na kilka tygodni.

Oprócz bardzo nielicznej świty, wziął Cesarz ze sobą kilku dworskich kuryerów, którzy codzień będą jeździli z Mentony do Ventimiglii i napowrót, przywożąc i odwożąc pocztę, z Wiednia zaś do Ventimiglii codzień będzie wysyłany rządowy kuryer z aktami, wymagającymi aprobaty monarszej. Zatem Cesarz nie chce nawet tych dwóch tygodni zupełnie poświęcić odpoczynkowi.

Jakby na złość, w Mentonie pozimniało. Śnieg wprawdzie stajał, ale za to deszcz po całych dniach jak przez sito sieje. W południe bywa dość znośna temperatura, ale z rana i nad wieczorem termometr wskazuje zwykle około 5-ciu stopni Celsiusza. Zapewne jednak wnet zmieni się to na lepsze, bo dla południowej Europy zapowiadają meteorologowie wiatry z Afryki.

Dyrektorem żeńskiego seminaryum nauczycielskiego we Lwowie mianowany p. Mieczysław Baranowski, inspektor okręgowy.

Królewicz włoski podobno zaręczył się z najmłodszą córką ks. Walii, księżniczką Maud. Zaręczyny te są dopiero prywatne, rychło nastąpią uroczyste, a ślub jeszcze w tym roku. Królewicz i księżniczka urodzili się w r. 1869. Ona jest tylko o kilkanaście dni młodsza od niego. Będzie to małżeństwo pod względem wyznaniowym mięszane.

Corso kwiatowe na lodzie urządza w niedzielę dnia 17 b. m. Tow. łyżwiarskie na Szumanówce. Sezony, w których corso takie może przyjść do skutku, należą do wyjątkowych, gdyż do powodzenia niezbędną jest łagodna temperatura, dzień jasny i spokojny, jakby z powiewem wiosennym powietrze, a przy tem wszystkiem, o co w warunkach takich oczywiście najtrudniej, i wytrzymałość toru. Rozumie się więc, że jeśli wymienione warunki nie dopiszą, corso odroczy się do następnej niedzieli, a publiczność o tem w drodze właściwej zawiadomioną zostanie.

Walne zgromadzenie Towarzystwa opieki nad niemowlętami pod wezwaniem Dzieciątka Jezus odbędzie się w piątek dnia 11 bm. o godzinie 4 po południu w sali Rady nadzorczej w Banku hipotecznym (plac Maryacki).

Nowy urząd pocztowy wejdzie w życie z dniem 16 bm. w Hyżnem w pow. rzeszowskim. Okręg doręczeń tego urzędu stanowić będą gminy i obszary dworskie: Dylęgówka, Grzegorzówka, Hyżne i obszar dworski Brzezówka.

Odznaczenia. Woźny sądowy w Grybowie Andrzej Stachurski otrzymał przy sposobności spensyonowania go srebrny krzyż zasługi.

Morderstwo. Jan Gorczyński, ofiara zamachu morderczego, o którym wczoraj donieśliśmy, zmarł w szpitalu nie odzyskawszy przytomności. Morderców jego jeszczcze nie schwytano.

W Czytelni katolickiej (Kopernika l. 5) odbędą się we czwartek 14 bm. między godziną 7 a 8 wieczorem wybory czterech członków zarządu. Zarząd uprasza członków Czytelni o jak najliczniejszy udział w głosowaniu.

Tłum. Przypominamy, że pod powyższym tytułem wygłosi we czwartek 14 bm. w sali ratuszowej dr. Bronisław Łoziński odczyt publiczny. Początek odczytu nieodwołalnie o godzinie 5. Bilety sprzedają księgarnie pp. Seyfartha i Czaykowskiego oraz Jakubowskiego i Zadurowicza.

Rezygnacya. Z Kolbuszowy donoszą, iż dr. Jan Hupka, właściciel dóbr, wybrany przed kilku tygodniami prezesem tamecznej Rady powiatowej, zrezygnował z tej godności.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Żółkwi rozpisała z terminem do 20 marca b. r. konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich.

Z izby sądowej. W roku zeszłym odbyła się w Tarnowie przed ławą sędziów przysięgłych rozprawa karna przeciw Janowi Silnickiemu, dzierżawcy Wierzchosławic, w dobrach ks. marszałka Sanguszki, obwinionego o zbrodnię sprzeniewierzenia, dokonanego i usiłowanego oszustwa, podpalenia i oszczerstwa. Trybunał po przeprowadzeniu rozprawy, na podstawie werdyktu sędziów przysięgłych, którzy oskarżonego uznali winnym, skazał Silnickiego na 10 lat ciężkiego więzienia. Obrońca Silnickiego wniósł przeciw wyrokowi zażalenie nieważności, a najwyższy trybunał rozpatrzywszy sprawę zniósł ten wyrok i polecił przeciw Silnickiemu przeprowadzić ponownie rozprawę przed sądem przysięgłych w Krakowie. Druga ta rozprawa zakończyła się w Krakowie w sobotę wieczorem. Przysięgli zaprzeczyli wszystkie pytania, trybunał więc wydał wyrok uwalniający. Silnickiego wypuszczono natychmiast z więzienia.

Z Drohobycza nam piszą: Biłas, były wójt z Truskawca, starzec siedemdziesięcioletni, został za swą 40-letnią działalność jako wójt, ozdobiony krzyżem srebrnym zasługi z koroną. Uroczyste przypięcie tego orderu odbyło się w sali magistratu drohobyckiego w obec władz politycznych, autonomicznych, w obecności okolicznych wójtów i licznie zgromadzonej publiczności.

W czerwcu jechał w wagonie kolejowym z Drohobycza do Borysławia kandydat adwokacki S. W tym samym wagonie echało więcej osób, między nimi niejaki Jankiel Feuerstein i Dawid Gartenberg obaj uchodzący za krezusów borysławskich. Między p. S. a tymi borysławczykami wszczęła się rozmowa na temat stosunków miejscowych, w ciągu której p. S. niepochlebnie wyraził się tak o stosunkach drohobyckich, jak borysławskich i oświadczył, że tamtejsi potentaci pogardzają człowiekiem, choćby miał nie wiedzieć jakie wykształcenie, jeżeli nie ma pieniędzy. Wtedy Jankiel Feuerstein przystąpił do p. S. i dał mu policzek, a Dawid Gartenberg jak najordynarniejszemi słowy go znieważył. Feuerstein *et consortes* starali się z początku groźbami, następnie prożbami skłonić p. S. do odstąpienia od skargi. Rzeczywiście sprawę Feuersteina oddano sądowi honorowemu do rozstrzygnięcia, składającemu się z 3 mecenasów, i ci skazali Feuersteina za brutalny czyn na zapłacenie 250 złr., które przeznaczono dla biednych uczniów. Dotychczas jednak kwota ta, nie wiedzieć z jakich powodów, znajduje się w depozycie u jednego z mecenasów.

W poniedziałek, t. j. 4 b. m. odbyła się przed kratkami sądowymi rozprawa p. S. przeciw Dawidowi Gartenbergowi o obrazę honoru a rezultat jej był ten, że Gartenberg skazany został na 5 dni aresztu ewentualnie 25 złr. Przeciw temu wyrokowi wniósł p. S. odwołanie z powodu niskiego wymiaru kary.

Przeszłego tygodnia zdarzyły się w Michałowicach w okolicy Drohobycza 2 wypadki cholery azyatyckiej. Domy, w których znajdowali się chorzy, izolowano.

W sobotę dnia 9 b. m. odbył się w sali gimnastycznej za inicyatywą burmistrza i posła pana Ksenofonta Ochrymowicza wieczorek z tańcami na dochód bursy. Już o godzinie 9-tej sala zaczęła się zapełniać inteligencyą miejscową, a o godzinie pół do 10-tej rozpoczęły się tańce walcem. Pięknych twarzy i ładnych toalet było dużo. Do kadryla stanęło 50 par. Zabawa przeciągnęła się do godziny 7-mej rano. Dzięki staraniom przewodniczącego komitetu p. Ochrymowicza, który cieszy się w naszem mieście popularnością, wieczorek wypadł pod każdym względem świetnie. Dochód wynosi 230 złr.

W sprawie założenia czasopisma dla uczni gimnazyalnych, otrzymujemy następujące rozsądne uwagi: „Otrzymałem przed dwoma dniami pismo drukowane od „Koła krakowskiego Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych“, pismo, podpisane przez osoby znane z uczciwości i poważania godne. W liście tym proponują mi przystąpienie do założenia dziennika dla uczniów gimnazyalnych, aby tychże przed złymi wpływami ustrzedz.

Myśl godna pochwały — skutki jednak byłyby zdaje mi się gorsze jak samo złe, któremu zapobiedz pragniemy. Że zaś uważam sprawę za bardzo, bardzo wielkiej doniosłości dlatego odpowiadam szanownym inicyatorom przez łamy *Przeglądu*. Że w młodzieży jest i powinien być zasób sił — i że starsi, więc przedewszystkiem profesorowie starać się o to powinni, by siły te były zdrowe, na zasadach religii, miłości Ojczyzny i poczuciu uczciwości oparte — tego chyba nikt nie zaprzeczy i owszem każdy uzna nawet tę konieczność.

Każda jednak rzecz ma swoje pro i contra. I właśnie na te contra pragnąłbym zwrócić uwagę nietylko panów inicyatorów, ale i całej publiczności.

Otóż contra temu projektowi przemawia:

1). Że młodzież gimnazyalna nie ma czasu do czytania pism lub pisemek.

2. Że wobec dzisiejszego prądu do polemiki i redagowania, sama młodzież często nie drukowane ale poprostu ręcznie pisane dzienniczki wydaje.

3). Że nie ma rzeczy zgubniejszej nad wpajanie w młodzież zapatrywania, że ona, jako taka, ma jakiś wpływ na politykę.

4). Że dzisiaj młodzież szkolna jest raczej prześcigłą, aniżeli niedojrzałą co do polityki, a redaktorzy szkodliwych pism schlebiając jej, nie powiadają „ucz się, abyś potem działał dla Ojczyzny korzystnie, abyś potem pisał — i pisał uczciwie“, ale mówią „młodzież zakazała“, „młodzież głos podniosła“ i t. p.

5). Jedna gazeta dla ośmiu klas jest wręcz niemożliwa, bo przecież co innego interesuje 18-letniego niż 11-letniego chłopaka.

6). Że wreszcie o wiele stosowniej i lepiej, by chłopcy po za godzinami nauki użyli świeżego powietrza, ruchu, gimnastyki, aniżeli żeby gazety czytali.

Dla tych powyżej wymienionych „contra“ zdaje mi się, że lepiej, korzystniej i skuteczniej byłoby zaniechać redagowania takiej gazety — a bardzo pożądanem, by profesorowie więcej, i jak najwięcej żyli się z uczniami. *Andrzej Fredro.*

Z Krakowa piszą nam: Karnawał tegoroczny zgromadza u nas towarzyskie koła wyłącznie prawie w salonach prywatnych. Na złe mu to nie wychodzi, owszem, mimo że długi, ożywiony jest młodzieńczo. Braku balów publicznych nie odczuje chyba nikt, prócz korzystających z nich instytucyi, choć i ten brak ofiarność w innej formie zastąpi. Wybitnym punktem karnawału był niedzielny wieczór u pp. delegatów Laskowskich.

O godzinie 10-tej wieczorem zapełniły się piękne salony państwa delegatów setkami osób. Największe zajęcie na wieczorze budziło przybycie księcia-biskupa, którego towarzystwo krakowskie widziało pierwszy raz wśród siebie.

O godzinie 11-tej rozpoczęły się tańce pod dzielnem i znanem przewodnictwem, i w ich kręgach roztoczyły świetlny wieniec prześliczne stroje... Do kadryla stanęło 80 par. A mazur! Wybaczcie Lwowianie, ale wy tak mazura tańczyć nie umiecie. W kotylionie powódź kwiatów.

Barwny widok przedstawiały sale jadalne, gdzie panowały zgodnie artyzm, komfort i szczera gościnność. I tak miło zbiegła ta noc karnawałowa.

W poniedziałek odbył się drugi bal u hr. Andrzejowstwa Potockich w pałacu ich „pod Baranami“, i wypadł jeszcze świetniej, niż pierwszy. Do mazura stanęło przeszło pięćdziesiąt par, a po kolacyi rozpoczęto kotyliona, który się do rana przeciągnął.

Tegoroczny wiedeński Gschnas. Z Wiednia piszą: Na tegoroczny Gschnas zapowiedziano „siódme niebo“. Przypuszczano więc powszechnie, że będzie to owo mahometańskie siódme niebo, wiernym przyobiecane. Tymczasem artyści, urządzający ten Gschnas, inaczej rzecz pojęli. Dla nich siódmem niebem jest własny kraj i własne miasto. Więc sala główna symbolicznie tę myśl przedstawiała. Niebo zasiane gwiazdami i aniołami — typy dziewcząt wiedeńskich; widać z nieba tylko wieżę św. Szczepana; po za oponą z mgieł toczy się olbrzymia kula ziemska, ale na niej nie ma nic innego, tylko Wiedeń i jego przedmieścia, bo nie ma nic na świecie nad Wiedeń.

Na środku horyzontu wystawał tylko typ wesołego wiedeńczyka, wyciągał w górę ręce i śpiewał typową piosnkę: „Weil ich ein alter Drahrer bin“, t. j. taki, co to lubi „chmiela“. Myśl, usymbolizowana w tem ukształtowaniu głównej sali, nie wyczerpywała jeszcze ogólnego pojęcia, przeciwnie, wypełniały go dopiero indywidualne zapatrywania: niechaj każdy sam okaże, co dla niego jest siódmem niebem.

Ta swoboda dała powód do konceptów nie wyczerpanych, tak np. pojawili się wygodnisie zadomowieni w pantoflach, w szlafrokach, w szlafmycy z fajką na długim cybuchu; to dla nich raj.

Nadto śpiewacy w gościnę do siódmego nieba sprowadzili wszelkie mitologie i całą astronomię. Te wszystkie pomysły złożyły się na niezliczone grupy; co ważniejsze były: grecki Olimp, 24 sztuk obojga płci, autentyczne, według Offenbacha; sprzedawano osobnego Baedekera z opisem; cztery grupy nektarów, bachusowa, wino — gambrynusowa, piwo — wódka „altvater“, starowiedeńska z gnomami — francuska z szampanem; najpostępowszy pensyonat wspólny, chłopcy wąsate w kurtkach, majtkach, na plecach torba z książkami, takież pensyonarki; związek studencki „Coelestia“, same pokiereszowane gęby; grupa dyabłów, niewolników; towarzystwo przyjemnej podróży, natłoczone w wagonie tramwajowym jadącym na nogach uczestników; naprożno policyant chciał przepisów przestrzegać, porywano go do środka, albo wtłaczano mu kask po szyję; towarzystwo gości z Marsa, sami kajdaniarze, zbiegi i handełesy; nadworny teatr wędrowny, t. zw. „Schmiere“; niebiescy eleganci, gigerl; mleczarki z drogi mlecznej; poczta żeńska; wodnicy z aparatami łaziebnymi, tuszami i t. p.; lodownicy, roznoszący cebrzyki z lodem, a w nim szampan; płatki śniegowe; gwiazdy stałe i zmienne, komety; anioły skrzydlate, brygada aniołów upadłych, skazanych na wygnanie; gromownicy, bierzmownicy; niebieska straż ogniowa, na czele 70-letni profesor Leszetycki z brygadą swojej szkoły; brygada straży bezpieczeństwa, jenerał i major na koniach (a la konik zwierzyniecki), trąbki, bębny, i armata, nosy elektryczne; kapela czeska, bo ta jest wszędzie; grupa karciana Petrus „z honorami“ mond (księżyc) tarokowy; wyprawa do Freuland (kraju radości, nie wolności — freiland), niewiasty z koszami dzieci na plecach, socyalni demokraci sztandary z napisami: godziny pracy zupełnie zniesione; kwartet-solo nadworny, ucharakteryzowany jako „kwartet Udla“, śpiewał wszędzie powitanie, ale naumyślnie tak fałszywie, że wszędzie go za kołnierz wyrzucano; stróże z dzielnic niebieskich Wiednia „am Himmel“, Stossimhimmel, Himmelpfortgasse; całe prezydyum śpiewaków jako braminowie i bonzowie.

Na pojedynkę niemniej niezliczone postacie, których każdy malarz zazdrościć może: podpalacze, którzy swoich domów bronią, a tylko cudze podpalają; gromownik i śniegowiec z pierzyną, gdyż, jak ją wietrzy i potrząsa, to na ziemię śnieg spada; surowica miała trzech apostołów, wyrabiano ją z teściowych, z ciotek, jako najsroższej trucizny i wstrzykiwano ogromnemi serengami; imunizowano chodzące po salach konie i trzy słonie z palankinami oraz niedźwiedzia, który prowadził nową wyprawę artystów pod biegun północny; kwiaciarek tuziny a niebezpieczne; warzono kiełbaski i sprzedawano precle na rzecz budowy domu śpiewaków; murarz i malarz, brukarz i zamiatacz reparowali ciągle gmachy niebieskie i drogę mleczna; księżyców nosatych i wszelkich ciał niebieskich więcej niż w kalendarzu; nie brakło podróżnych John Bullów ze szczękami buldogów, amerykanki zaś ubrane jako cygara; studenci, studentki i wszelkie emancypantki; zakradł się także poeta, dźwigał stos sztuk — wszystkie, które w Wiedniu przepadają, szukał w niebie słuchaczy; Mefisto i rozmaite figury z teatrów; malarze tęcz: niemowlęta, które po wstrzyknięciu surowicy ważyły 105 klgr. i szukały odpowiednich mamek między niebieskiemi „ciałami“ — i t. d. i t. d. bez liku, bo mnóstwo figur które z lubością studyowały w zwierciadłach swój wdzięk, lubo z niebem nie stały w pokrewieństwie, snuło się po sali ku ogólnej uciesze.

Oto jak wygląda taki „gschnas“, ale żeby go ocenić, trzeba pamiętać, że tam nie ma publiczności, lecz wszyscy są aktorami i nawzajem się bawią, a dalej, że jest to bardzo dobre towarzystwo, same znane osoby i ich rodziny, profesorowie, radzcowie dworu, bankierzy, niemowlę np. znany bankier, kibic szachowy z wieżą na głowie, radzca ministeryalny; lekarze, adwokaci, kupcy, artyści i t. d. A gdy tacy ludzie raz się na zabawkę puścili, to staje się ona prawdziwie wesołą, a nie przesadną, nie ordynarną.

Śpiewacy z estrady opiewali w chórach i solach w sposób satyryczny siódme niebo wiedeńskie, dwie orkiestry przygrywały, ale im ciągle przeszkadzali trębacze i fagociści czescy.

Na estradzie urządzono też teatr: więc przyszły dwie karyatydy i trzymały cały front budy, drugie dwie trzymały kurtynę, komisya badała bezpieczeństwo budy, kazała zastawić ją kurtyną żelazną — z pieca. Dyrektor wystąpił z zapowiedzią widowisk, zasypano go główkami kapusty i łupinami z orzechów. Jeden artysta przedstawił Sarę Bernhardt, potem nastąpiły Ibsena „Widma“. Aż tu publiczność widzi, że grają „Trójkę hultajską“; oburzenie, krzyk, zdobycie sceny, wyrzucenie aktorów, zburzenie budy; wyobraźcie sobie ten rwetes, gdy równocześnie po salach i galeryach niemniej głośne odbywają się alotria.

Zabawy jest tak dużo, że nie ma czasu, ani miejsca na tańce. Zaledwo około 1 po północy policya robi nieco miejsca dla walca, po walcu znowu walc, a po nim walc. Nad ranem skleił się kadryl, ale polkowy, potem walc i walc, śmiech, coraz nowe koncepty, pojawili się nawet trzej żałobnicy, welony z cylindrów aż do ziemi spadały; wdzieli żałobę po teściowych, a radość z tego wypadku przeniosła ich w siódme niebo...

Wyszła też gazeta „Goniec niebieski“, *Heuteblatt* (dzisiejszy). Artykuł wstępny narzeka, że ten ciągły pokój w niebie stał się już nudnym; nie ma o czem pisać. Odezwa o utworzenie opozycyi; ogłoszenie, że jeden *habitué* baletowy wynajmuje swoją łysą głowę na udawanie na scenie księżyca; emisya akcyi towarzystwa klapy, przeciw upadkom sztuk; dr. prawa i filozofii poleca się urzędniczkom do gospodarstwa, umie gotować i łatać bieliznę i t. d. Więc „gschnas“ powiódł się wybornie.

Z Towarzystwa prawniczego lwowskiego. We czwartek dnia 14 lutego br. o godzinie pół do 7 wieczorem w sali rozpraw sądu krajowego cywilnego dalszy ciąg wykładu prof. dra A. Balasitsa „O procesie trybunalskim“. Wydział zaprasza wszystkich pp. członków na ten wykład.

Nieprawne aresztowanie. Przed kilku dniami pod powyższym tytułem donieśliśmy o aresztowaniu Dominika Piękosia, włościanina z Przybówki i podaliśmy za urzędową *Gazetą lwowską* przyczyny, dla których owego Piękosia aresztowano. Owóż relacya *Gazety lwowskiej* była niedokładną, gdyż od ks. Juliana Krygowskiego, wikaryusza w Tarnowcu, najwięcej interesowanego w tej sprawie, otrzymujemy list następujący:

„W nrze 32 *Przeglądu* z 8 lutego b. r. zamieszczono w kronice notatkę p. t. „Nieprawne aresztowanie“. Miała owa notatka na celu podać prawdziwy powód uwięzienia niejakiego Dominika Piękosia z Przybówki, lecz zawierała co do kilku szczegółów błędne wiadomości, które niniejszem prostuję. Notatka owa mówiła między innemi tak: „W kościele w Tarnowcu nauczał miejscowy wikary ks. Juliusz Kręglowski, aby lud wiejski nie czytał pism ks. Stojałowskiego „Wieńca“ i „Pszczółki“. Za upomnienie to otrzymał ks. Kręglowski list bez podpisu miotający na niego różne obelgi, tudzież zawierający groźbę, że „na takich księży, jak ks. Kręglowski ma lud wyostrzone kosy“. Pomijam takie np. niedokładności, jak przekręcenie nazwiska, jak również i tę okoliczność, że nie nazwałem wtedy po imieniu żadnej gazetki. W innych wprawdzie wypadkach, zwłaszcza już po ogłoszeniu odwołania przez ks. Stojałowskiego, występowałem imiennie tylko przeciw „Przyjacielowi ludu“. Przechodzę więc do dalszych słów relacyi, w których mowa o obelgach i groźbach, jakoby przeciw mnie wymierzonych. Przyzna Szanowna Redakcya, że na każdy sposób niezbyt korzystne pada stąd na mnie światło, choćby tylko dlatego, żem się okazał drażliwym na obelgi pierwszego lepszego drapichrusta, lub żem się uląkł gróźb jego, a nareszcie, żem aż pod skrzydłami Prokuratoryi szukał dla siebie satysfakcyi i bezpieczeństwa.

Otóż mogę zapewnić szanowną Redakcyę, że ani jednej obelgi, specyalnie do mnie skierowanej w tym liście nie ma, za to jednak obrzucono tam błotem najszanowniejszych kapłanów z naszej okolicy — oplwano biskupów i szlachtę. Nie osobista więc uraza mnie do tego skłoniła, żem list ck. prokuratoryi przesłał, ale nie skłoniła mnie też do tego obawa przed wyostrzonemi kosami. Ustęp odnośny bowiem z tego listu brzmi tak dosłownie: „Kosy nasze wyrychtowane na wrogów naszej Ojczyzny — muszą się pierwej skruszyć na karkach dumnych stańczyków i klerykałów“. Więc i tu nie tylko mój kark zagrożony, ale przedewszystkiem całej szlachty

i całego duchowieństwa, domyślam się bowiem, że duchowieństwo miał na myśli światły mój anonim — gdy o klerykałach pisał. Przesłałem przeto ck. prokuratoryi ów piękny dokument z tej właściwie przyczyny, że mając silne podejrzenie na kogoś z gorliwych czytelników *Przyjaciela ludu*, byłem pewny, że w razie wykrycia i ewentualnego przyaresztowania autora anonimu, weźmie go *Przyjaciel ludu* jako swego — w obronę. Tą drogą przedostać się może sprawa, tak sądziłem, do dzienników, a wtedy dopiero dowie się ogół, jak to nasz lud pojmuje hasła i program swoich przewodników — jeżeli je wyraża w takich słowach, jak te: Kosy nasze wyrychtowane itd.

„Pozostaje mi tylko pogratulować redaktorom *Przyjaciela ludu* pięknych sukcesów na niwie pracy około ludu — pracy, jak oni sami zapewniają, bardzo sumiennej i rozumnej.“

Z pobytu zagranicznych rabusiów we Lwowie! Trzej członkowie szajki specyalistów do otwierania kas wertheimowskich: Affendakis, Papacosta i Stalio, których niedawno uwięziono w Peszcie, bawili także w naszem mieście. Było to podczas wystawy we wrześniu roku ubiegłego. Stalio mieszkał prywatnie przy ulicy Sykstuskiej, Papacosta na Chorążczyźnie, zaś Affendakis zajmował apartament w hotelu. Przeważną część dnia spędzali w kawiarni „Grand“, wieczorem bywali w cyrku, a w nocy w tingl tanglu. Wszyscy władali kilkoma językami, po niemiecku jednak mówili bardzo słabo. Zawiązywali oni we Lwowie bardzo liczne znajomości, a przedstawiali się jednym jako dziennikarze francuscy, innym znowu jako zastępcy wielkiej fabryki tytoniu i cygar w Kairze. Ciekawą było jednak rzeczą, że żaden z nich nie miał nigdy przy sobie zagranicznego papierosa. Niektórzy ze sposobu zachowania się ich, uważali ich za ajentów moskiewskich. We Lwowie żyli dość skromnie i to chyba zmyliło naszą policyę, która nie zwróciła na tych niebezpiecznych ptaszków uwagi, chociaż kręcili się oni na lwowskim bruku prawie cały miesiąc. Z dobranej tej trójki najlepiej przedstawiał się Papacosta, który jako bardzo przystojny brunet, zrobił nawet we Lwowie wiele znajomości wśród płci pięknej. Najlepiej podobały mu się jasne blondynki, które znowu lgnęły do jego czarnych wąsików. Drugi członek bandy Stalio, jest to barczysty brunet, zaś Affendakis, niski smagły szatyn. Po co oni właściwie przyjechali do Lwowa i co tutaj robili, nikt nie wie. Domyślać się tylko można, że po spełnieniu jakiej większej kradzieży we Wiedniu, lub w Peszcie, schronili się tutaj, wiedząc, że we Lwowie nic im się złego stać nie może. Ci bowiem, którzy ich bliżej znali, uważali ich za majętnych cudzoziemców, przybyłych do Lwowa celem zwiedzenia wystawy. Że zaś nie mieli do zawartości lwowskich kas ogniotrwałych wielkiego zaufania, najlepszym dowodem, iż żadnej nie rozbili i nie wypróżnili, chociaż z pewnością nie byłoby im to przyszło z wielką trudnością.

W sprawie emigracyi naszego ludu do Ameryki nadsyła nam kilka uwag jeden z naszych rodaków zamieszkałych w Londynie. Miał on sposobność przyjrzeć się stosunkom emigracyjnym angielskim i irlandzkim, a na tej podstawie przyszedł do przekonania iż wszędzie i zawsze są trojakie powody emigracyi: 1) Przeludnienie 2) Przedsiębiorczość społeczeństwa, która w ten sposób szuka ujścia i 3) wadliwy system socyalny i ekonomiczny. Otóż zdaniem naszego korespondenta o pierwszych dwóch najważniejszych powodach u nas ani mowy być nie może. Kraj nasz mógłby wyżywić dwa razy tyle ludności ile dziś w nim żyje, a chłop, który idzie na emigracyę, najczęściej zmienia warunki bytu na gorsze. Dalej opisuje autor nędzę i trudne położenie polskiego emigranta, w Ameryce, a mówiąc o środkach i sposobach powstrzymania emigracyi, z szczególniejszym naciskiem zaznacza potrzebę ułatwienia w nabyciu ziemi u siebie i w przenoszeniu się naszej ludności z powiatów przeludnionych do słabo zaludnionych.

„Od dłuższego już czasu — pisze nam korespondent — ludność mazurska ma tendencyę przenoszenia się do mniej zaludnionej a żyźniejszej Galicy wschodniej. Mazur opuszczający rodzinne strony staje się się w Galicyi wschodniej, że się tak wyrażę „Culturtragerem“, gdyż pod wielu względami chłop ruski mniej jest rozwiniętym, aniżeli on; podczas gdy za granicami kraju z wyżej przytoczonych powodów marnieje — przesiedlony do Galicyi wschodniej staje się pożytecznym czynnikiem w ekonomii krajowej — nie wyradawia się, lecz przeciwnie łącząc się z Rusinem staje się jakby spójnią dwu pokrewnych szczepów. Przyzwyczajony do lichszych gruntów potrafi zużytkować lepiej każdy kawałek pola bodaj słabszego — buduje domek wygodniejszy — słowem jest pożądanym gościem w nowej swej siedzibie. Lecz nie łatwo mu to tak przychodzi w Galicyi wschodniej osiąść — pośrednik zwykle grubo z niego korzysta nim uda mu się coś odpowiedniego znaleść.

Czyż człowiek nie bogaty może odbywać podróże, celem wynalezienia odpowiedniej dla siebie parceli? Czyż nie musi się bać wyzysku pośredników, zresztą trudności prawnych z nabyciem gruntu połączonych?

Wszak ludzie z naszemi instytucyami obyci niechętnie przenoszą się w stosunki nowe, jeśli obawiać się muszą licznych przeszkód i kluczek, nie dziwić się więc chłopu — jeśli się waha w wyborze, czy ma szukać we własnym kraju nowej siedziby, której dostąpi po krętej i śliskiej ścieżce pośrednictw, doradzców, czy też wybrać się za morze, gdzie mu obiecują złotą wolność i życie bez trosk i kłopotów?

Dotychczas organizacyi emigracyi ludu z Galicyi zachodniej do wschodniej nie uwzględniono zupełnie. Przykro powiedzieć, że nie istnieje obecnie ani jedna instytucya zajmująca się zakupnem gruntów od właścicieli większych obszarów, (którzy chętnie by się części mniej dogodnych pozbywali) parcelowaniem tychże i sprzedażą emigrantom z powiatów zachodniej Galicyi. Instytucya taka dałaby się niewielkim kapitałem w życie wprowadzić a miałaby za zadanie, zbywającej ludności Galicyi zachodniej ułatwiać przesiedlanie się do wschodniej części kraju.

Mogłaby ona grunta taniej nabywać aniżeli chłopi, gdyż nabywałaby większe obszary — przeprowadzając zaś wszelkie prawne procedury zdjęłaby im ciężki kamień z serca.

Przestrzenie zaniedbane wskutek braku sił roboczych i kapitału, dostały by się w ręce rolników pracujących dla siebie a więc lepiej, aniżeli robotnik płatny a co najważniejsza chłopek mazurski wiedząc dokąd się ma udać, by nabyć kawał ziemi, jaki mu potrzebny — nie patrzyłby na Amerykę, jak motyl na światło lampy, w której niestety szuka tylko własnej zguby.“ *W. S.*

Hypnotyzer. Z Londynu donoszą pod datą 2-go b. m. Hypnotyzer Morrit — dający od lat kilku przedstawienia w salach publicznych — zaczął wczoraj w Royal Aquarium doświadczenie z mężczyzną 32-letnim, kamieniarzem, Henrykiem Nolan, w obecności kilkunastu wybitnych lekarzy. O godzinie 6 wieczorem zahypnotyzował Nolana, leżącego na niskiem łóżku, całkowicie zakrytem szklanem pudłem o wierzchu otwartem. Operacya odbyła się przed licznie zgromadzoną publicznością. Nolan, ubrany czarno, miał głowę przewiązaną białą chustą, ręce na piersiach skrzyżowane, nogi zakryte kocykiem. Dr. Forbes Wilson zbadał puls jego przed zaśnięciem: puls był słaby, tylko 78, oczy dość szeroko rozwarte. Przystępując do łoża, Morritt oświadczył, że pogrąży pacyenta w letarg na dni ośm i tyleż nocy, czego podobno nikt jeszcze publicznie nie zrobił; pilnować będą Nolana dziennikarze i doktorowie w dnia i w nocy, hypnotyzer zapewnia, że pacyent będzień pozbawiony cały ten czas czucia i samoświadomości. Po ośmiu dniach zamierza Morritt umieścić Nolana w tej samej klatce, ale nakrytej grubą warstwą ziemi, a po dniach 10 wrócić mu życie. Sama operacya ograniczyła się do niespełna czterech minut. Nolan, jak stwierdzili lekarze o godz. 10 jest zupełnie bez czucia.

Restauracye lwowskie z małymi bardzo wyjątkami, nie cieszą się dobrą opinią, gdyż nie odznaczają się ani tanością, ani pomimo wysokich cen, dobrocią jadła. Pod tym względem Kraków dawno już wyprzedził nasze miasto, a jako dowód przytaczamy menu z dwóch dni z restauracyi Aleksandra w hotelu saskim w Krakowie.

Niedziela, śniadanie za 1 złr.: Barszcz lub bulion. Omelette purée de tomates. Majonez z poulardy. Sałata z homara. Chaud-froid de grives. Mięso zimne, sauce provençale. Flaki à la polonaise. Côtelettes de porc roties aux choux. Entre-côte à la broche. Indyk, sauce perdreaux au gruau. Kuropatwa. Ser. Kawa.

Kolacya za 1 złr. Jaja à la parisienne. Majonez z sandacza. Sałata de volailles. Pasztet, sauce tartare. Turbot sauce holandaise. Baranina braisé. Rozbef po angielsku. Zrazy de veau à la parisienne. Cynaderki, sauté au Madère. Zając. Kuropatwa à la Débutoff. Ser. Kawa.

Poniedziałek, śniadanie za 1 złr. Barszcz lub bulion. Omelette au parmesan. Majonez z sandacza. Galantyna z kapłona. Czomber sarni aux oranges. Kuropatwa au vin rouge. Poularda fricassée. Kotlet cielęcy à la financière. Rizotto à la milanaise. Sosiski au raifort. Sole frite au citron. Ser. Kawa.

Kolacya za 1 złr. Jaja à la crême. Sałata z homara. Chaud froid de grives. Siga fumé. Filet sauté à la Potocki. Mięso zimne, sauce tartare. Zrazy à la polonaise. Cielęca z nerką rôties. Zając à la crême. Escaloppe de boeuf à l'esturgeon. Kuropatwa. Ser. Kawa.

Takiego obiadu lub kolacyi, jak powyższa i za tak niską cenę 1 zł. we Lwowie nigdzie nie dostanie. W ogóle Lwów pod względem praktycznych urządzeń restauracyjnych stoi bardzo nisko. Przypomnimy tylko czytelnikom naszym, co o urządzeniach restauracyjnych w Szwecyi pisał w *Przeglądzie* dr. Wł. Jasiński w swych notatkach z podróży po Szwecyi. Otóż donosi on, iż na wszystkich tych stacyach w Szwecyi, w których są dłuższe przestanki, aby umożliwić podróżującym spożycie obiadu, urządzone są restauracye w ten sposób, że podróżny za szwedzką jedną koronę (80 kilka centów według naszej waluty) może sobie kazać podać z kuchni co zechce, lub może wybierać sobie do woli z bogato zastawionych stołów. Na obiadach takich restauratorzy robią dobre interesa. Zdarzy się wprawdzie niejeden taki, który zje więcej niż za koronę, ale natomiast sto innych osób nie zje i za połowę, a wszyscy są zadowolnieni, restauratorzy i goście, pierwsi bowiem mają ładny dochód, drudzy zaś wyborne jedzenie i wygodę, bo nie potrzebują rachować się z kelnerami i czekać długo na podanie potraw, lecz za sumę z góry zapłaconą mogą sobie wybrać i jeść co się im podoba. Bardzoby było pożądanem, aby który z lwowskich restauratorów zaprowadził u siebie podobne urządzenia jak w Szwecyi, albo też obiady i kolacye na wzór pana Aleksandra, restauratora w hotelu saskim w Krakowie, a ręczymy, że kroku swego nie pożałowałby, gdyż dając d o b r e jedzenie, na maśle, nie na sztucznych tłuszczach, liczną cieszyłby się klientelą i wielkie miałby dochody.

Zaręczyny. Jenerał Galgotzy, komendant korpusu przemyskiego, zaręczył się z panią Hortenzyą Maurice z Hamburga.

Stan powietrza. T. o 8 rano —7° R. w poł. — 4° R. Bar. 759. Podnosi się. Pochmurno.

Mówka solenizanta w dniu imienin.

„Panie i panowie! Kiedym przed laty sześćdziesięciu ujrzał po raz pierwszy światło dzienne, ani mi przez myśl nie przeszło, że będę miał dziś tak liczne towarzystwo koło siebie!.....

Także pretekst. Powieściopisarz do powieściopisarza:

— Co? masz butelkę wina przy robocie? Cóż to za uroczystość? Imieniny?

— Nie, ale bohaterka moja wychodzi dziś... za mąż.

— Aha!...

Teatr. Dziś we środę „Walka motyli“, komedya w 4 aktach Sudermana. We czwartek „Łucya z Lamermoru“, wielka opera w 4 aktach Donizetti'ego. W piątek „Walka motyli“. W sobotę „Madame Sans-Gêne“.

Literatura i Sztuka.

* **O naszych pisarzach.** Benedyktyni w Rajhradzie na Morawach wydają poważnie i rozważnie redagowane czasopismo *Hlídka literární*. W organie tym znajdujemy dość często sprawozdania o polskim ruchu literackim, pisane z widoczną sympatyą dla nas, ale zupełnie bezstronnie. I tak w numerze 1-szym z roku bieżącego J. Szilhan mówi o Jeske-Choińskim, K. Tetmajerze i Rodziewiczównej. O książce pierwszego p. t. „Na schyłku wieku“ powiada, że zasługuje na to, aby ją po za Polską czytano“. K. Tetmajera poezye mu się nie podobają, lubo chwali ich formę, ale gani uganiania się za ideami rozkładowymi. Rodziewiczównę sądzi surowo w następujących słowach: „M. Rodziewiczówna zyskała sobie brzmiące imię romansem „Dewajtis“; pisma warszawskie pisały z zapałem o „poemacie z borów litewskich“, porównywały go z innym „poematem borów litewskich“, Panem Tadeuszem, na cześć autorki wyprawiano bankiety.... Sława była przedwczesna... nadzieje się nie spełniły. „Dewajtis“ i „Szary proch“ stoją odosobnione. Inne, np. „Anima vilis“, „Lew w sieci“, „Na fali“ są gawędami zaniedbanemi pod względem formy, nieprzetrawionemi; autorka powtarza oklepane hasła o emancypacyi kobiet, jakie bywały około roku 1873 w artykułach dziennikarskich *Przeglądu tygodniowego*; ma kilka ulubionych typów i te powtarzają się w każdym utworze aż do obrzydzenia“.

Rozmaitości.

— **Fortel amerykański.** W rzeczypospolitej San-Salvador, w Ameryce środkowej, strącony został z godności prezydenta przez powstanie Karol Zeta. Upadek swój zawdzięcza on poprostu dwu telegramom. A oto, jak się stało.

Rząd miał do rozporządzenia 14.000 ludzi, powstańcy zaś tylko 6.000, co rozumie się nie przedstawiało widoków powodzenia; ale wódz wojska powstańczego wpadł na nader śmiały pomysł. W mieście San Salvador znajdował się prezydent, jenerał Karol Zeta, z połową wojska rządowego, druga zaś połowa pod wodzą jego brata, wiceprezydenta jenerała Antoniego Zety stała obozem pod Santa-Ana. Jenerał powstańców, Gutierrez, stanął w połowie drogi pomiędzy obu miastami i przedewszystkiem przerwał komunikacyę telegraficzną, a za to urządził dwie stacye na dwa kierunki. Potem podał do prezydenta telegram pod imieniem Antoniego Zety, że wojsko rządowe poniosło zupełną porażkę pod Santa-Ana, że cały kraj powstał, że wojsko rewolucyjne niesłychanie wzrosło i idzie na San-Salvador i że jedyna nadzieja ocalenia spoczywa w ucieczce. Potem wysłał do wiceprezydenta telegram z podpisem „Carlos Zeta“, donoszący, że w San-Salvador wszczął się bunt, że powstańcy zagarnęli rząd i że on sam, prezydent, uszedł na okręt niemiecki, stojący w porcie i zamierza na nim ujść z kraju. Obaj bracia oszukani telegramami, opuścili swoje pozycye, które zajął jenerał Gutierrez. Pomysł ten podobno nie jest nowym i już miał być w Ameryce niejednokrotnie użyty.

— **O Feliksie Faure** krąży już naturalnie mnóstwo *bon mots* i *jeux de mots* po bulwarach. Oto parę próbek iście francuskiego dowcipu, który się przełożyć nie da, bo jest grą słów.

Pomiędzy dwoma przechodniami na ulicy:

X. Ten Faure wygląda na człowieka bardzo bogatego.

Y. Dlaczego?

D. Jakto, nie spostrzegłeś *cet aspect, qu'offre Faure?* (*coffre fort* — kasa ogniotrwała).

Paryżanie, robiąc kalambur z jego imienia i nazwiska, powiadają, że nowy prezydent będzie bardziej szczęśliwy niż silny (plus *felix* que *fort*).

Inni znowu bawią się w etymologię i w nazwisku pierwszego dostojnika państwowego widzą dobrą dla sprawy socyalnej zapowiedź. Zmieniając *v* na *u*, z Faure'a można zrobić Favre'a, a Favre, jak wiadomo, pochodzi od *Faber*, co znaczy robotnik (ouvrier), że zaś *Felix* przekłada się na szczęśliwy (heureux), zatem imię i nazwisko prezydenta może być zamienione w okrzyk nadziei: Heureux ouvrier! A jednak socyaliści *en bloc* głosowali przeciwko niemu!...

— **Praca wykonana przez deszcz.** Według obliczeń pewnego inżyniera filadelfijskiego na cal gruby opad deszczowy na przestrzeni mili kwadratowej wynosi 17,500.000 galonów wody, ważącej 145,200.000 funtów. Jeżeli się więc przyjmie, że deszcz spada z wysokości $1^1/_2$ mili czyli 30.000 stóp. to przedstawia siłę 22.000 koni parowych. Ażeby tę wodę napowrót wypompować na wysokość 30.000 stóp, to przy użyciu pompy o sile jednego konia, zużywając 2 funty węgla na godzinę, trzebaby go spalić 200 ton czyli 400.000 funtów. Według fachowych obliczeń deszcz spada często ze znacznie większej wysokości, więc obliczenie powyższe nie jest wcale przesadne.

Głosy publiczności.

Jubileusz bez wiwatów. Dnia 5 b. m. o godzinie 8 rano na odgłos dzwonka wzywającego do modlitwy, zebrało się około ośm osób w świątyni Pańskiej. W skromnej liczbie tej Bożej czeladki złożonej z mieszczan, wyróżniały się dwie postacie z kornie uchylonem przed Bogiem czołem. Byli to pan Andrzej Horodecki c. k. nadkomisarz straży skarbowej i jego czcigodna Małżonka. Skromny, jak Jego całe życie zamówił w największej cichości mszę świętą, ażeby pomodliwszy się mógł podziękować Panu zastępów, że Mu dozwolił z czterdziestoletniej służby wyjść z czystym jak łza niemowlęcia sumieniem.

Bo też rzeczywiście ten skromny w życiu a wspaniały w czynach jubilat w całym przeboju swej służby, jakby wpatrzony w pagórek Golgoty, wydobywał z ostatnich głębin swego sumienia jakiś krąg nieziemskich uczuć, które niepojętym cudem wrażały się w przyrodzony rozwój ludzkiego ducha i rosły wyżej coraz wyżej aż do takiej potęgi, że nawet tam stwarzał On ludzi, gdzie zaledwie materyał na ludzi się znajdywał. Otwarty nieprzyjaciel każdej lichoty, która zwykła odzierać człowieka z jego miejsca na świecie, ażeby tylko oczy wyższych na swą karykaturę zwrócić — jaśniał ten powszechny samarytanin ludzkości jak wspaniała kolumna światła rozdzielająca dobroczynne promienie pomiędzy skazanych na potępienie. Nieprawość dokonana na którejkolwiek istocie noszącej nazwę człowieka — jak nasyp prochowy podrażniony iskrą wywoływała w tem uosobieniu sprawiedliwości wybuch za wybuchem. — Każda wielkość ma swój szczyt. To też nic dziwnego jeżeli nieskalana sprawiedliwość nasycona niewysłowioną łagodnością tego czcigodnego jubilata zjednała Mu wszędzie czy to w kraju czy też na kresach Państwa powszechny przydomek „poczciwego Dziadzia“. Nazwisko to zdaje się być najpiękniejsze ze wszystkich imion, bo ono określa coś łagodniejszego jak nazwisko ojciec.

Niejeden ze śmiertelników goni na oślep za hołdem należnym tylko zasłudze, a niejeden znów z zręcznością iście kuglarską puszcza w obieg falsyfikaty prawości, energii i niezłomności byle tylko za te monety mógł kupić sobie porcyę uznania; a jednak ani pierwszy ani drugi nawet jednem spojrzeniem nie zawadzi o prawidło ludzkości, które stoi Mu przed oczyma tak jawne i proste jak rozkrzyżowany drogoskaz na drodze przeciętej.

Z czystego jak perła sumienia splata się najpiękniejszy pamiątkowy wieniec. Jakich fiołków i jakich róż należałoby uzbierać do wiązanki dla tego, który przez całe życie w swych podwładnych widział tylko własną rodzinę. Oto troszczyć się nie będziemy bowiem z piersi tej dziatwy tryska wdzięczność brylantową kaskadą na uznojone czterdziestoletnią pracą jaśniejące czoło ludzkiego pracownika. A z tych uczuć spleciona wiązanka zdaje się być najpiękniejszą ze wszystkich wianków.

Dolina 9. lutego.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 11 lutego.

(Z) Dziś zawarł p. Plener z grupą Rotszyldowską układ o objęcie ostatniej partyi austryackiej renty złotej w sumie 50 milionów zł. Połowę tej sumy, t. j. 25 milionów objęła grupa zaraz na własny rachunek, po kursie *al pari*, t. j. wedle berlińskiego notowania po 101·25, co do drugiej połowy zaś zastrzegła sobie prawo opcyi w ciągu ściśle określonego terminu, jak się zdaje w ciągu piętnastu miesięcy, i przypuszcza państwo do udziału w połowie zysku, jeżeli za tę drugą połowę uzyska kurs wyższy niż 102·65. Renta ta jak już doniosłem jest 4 prc. W Berlinie handlowano nią już dzisiaj, i płacono za nią 103·5 prc., t. z. o 2 prc. drożej od kursu, po którym ją grupa objęła. Wiadomość o zawarciu tego interesu wywołała w pierwszej chwili dość znaczną zwyżkę kredytów, jako akcyi instytucyi, której przypadnie lwia część zysku z tej operacyi, zwyżka ta jednak nie mogła się długo utrzymać.

Zniżkowcy berlińscy byli dziś bowiem w korzystnem położeniu, gdyż w Londynie znów podniosła się stopa procentowa z $1^1/_8$ na $1^1/_4$ %, a targ berliński zaniepokojony jest wielce tem, że rząd za upaństwowić się mającą kolej moguncką ofiaruje tak niską cenę, że nie wyrównywa ona nawet dzisiejszemu kursowi akcyi tej kolei. Ponieważ na porządku dziennym stoi upaństwowienie kilku jeszcze innych kolei pruskich, przeto boją się finansiści berlińscy, że także w obec tych kolei będzie rząd bezwzględny. O ile jednak akcye bankowe nie mogły utrzymać się przy ostatnim swym kursie i w końcu na targu ich zapanowała stagnacya, o tyle targ walorów przemysłowych, a osobliwie budowlanych, był niezwykle ożywiony. Widocznie spekulanci wszystkie swe wysiłki skoncentrowali teraz, aby przeć bez pamięci kurs tych papierów. Akcye fabryki cementu (Perlmoos), które już w sobotę podskoczyły o 27 zł., dziś uzyskały dalszą zwyżkę o 11 zł. Kurs rent osłabił się dzisiaj.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 415·—, węgierskie 501·50, Anglobanki 181·65, Uniony 326·—, Bankvereiny 160·60, Länderbanki 284·40, Ludwiki 219·70, Czerniowieckie 301·—, Elbathale 278·25, Renta papierowa 101·15, srebrna 101·20, austryacka złota 126·30, 4% austr. renta wal. kor. 100·85, węgierska złota 124·40, 4% węgierska renta wal. kor. 99·15, dukat 5·84—, 20-frankówka 9·84½, marki 12·14, ruble 1·33¼.

§ **Przegląd targu zbożowego.** (Sprawozdanie banku rolniczego). Lwów 13 lutego.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica gotowa 6·20 do 6·75, żyto gotowe 4·50 do 5·15, owies obroczny gotowy 5·— do 5·50, jęczmień browarniany 4·75 do 5·50, jęczmień pastewny —.— do —.—, rzepak 8·— do 8.75, lnianka 6·— do 6·25, siemię konopne —·— do —·—, anyż —·— do —·—, groch pastewny —·— do —.—, groch jadalny 6·— do 8·—, wyka 4·50 do 5·—, bobik 4·25 do 4·50, hreczka 6·80 do 7·50, kukurudza stara —·— do —·—, kukurudza nowa 5.50 do 5·75, chmiel za 56 kilo 20·— do 30, koniczyna czerwona 50·— do 70·—, koniczyna biała 65·— do 100·—, koniczyna szwedzka 40·— do 60·—, tymotka 25·— do 35·—, spirytus za 10·000 litr. proc. loco stacye kolei 12·50 do 13·—, spirytus na termina —·— do —·—.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.** K r a k ó w 12 lutego.

Jestto objaw w handlu zbożowym powtarzający się regularnie, że gdy tendencya się wzmocni i ceny zaczynają się poprawiać, wtedy powstaje chęć do spekulacyi i zaofiarowanie się zmniejsza. Taki sam wypadek zachodzi obecnie; nie ulega bowiem wątpliwości, że zapasy zboża są w ogóle znaczne, a przecież w ostatnim czasie dowozy zboża zmniejszyły się tak dalece, że przynajmniej co do pszenicy, podaż jest bardzo mała. Ze względu na to sprzedający próbowali znowu podnieść cenę, a chociaż usiłowania w tym kierunku widocznego skutku nie odniosły, to przecież ceny ostatnie utrzymały się w zupełności, a odbyt bez względu na jakość ziarna był ułatwiony. Żyto i owies poszukiwane również po dobrych cenach, jęczmień bardzo słaby napotyka odbyt i dlatego obniża się w cenie. Swoją drogą na targach międzynarodowych dotychczas nie nastąpiło prawie żadne polepszenie, a notowania terminowe na giełdach są niższe niż kiedykolwiek.

Płacono pszenicę białą 7·15 do 7·40, czerwoną 7·10 do 7·35, żółtą 7·10 do 7·35, żyto 5·60 do 6·—, jęczmień browarny 6·00 do 6·50, na kaszę 5·— do 5·20, owies 5·50 do 6·10 zł., rzepak —·— do —·—. Koniczyna czerwona 40 do 70, biała — do —, tymotka 25·— do 35·— zł, wyka 5.75—6.10; bób 5.20—5.35 zł. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Z targu bydła.** W i e d e ń 11 lutego. Na targ dzisiejszy dowieziono wołów galicyjskich 556, wołów węgierskich 1760 i wołów niemieckich 1356, razem 3672 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 56 do 57, dobre ciężkie 58 do 60, prima 61 do 63, za buhaje i krowy 26 do 35 na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, dom komisowy bydła, Wassergasse 23.

Telegramy „Przeglądu“.

Praga 13 lutego. Sejm czeski rozpoczął wczoraj debatę budżetową. Młodoczesi Czernohorsky, Gregr i Kaunitz bronili czeskiego prawa państwowego i swoim zwyczajem namiętnie napadali na Niemców, na szlachtę i na rząd, a osobliwie na namiestnika. Za nieprzyzwoite wyrażenie musiał marszałek wezwać do porządku posłów Gregra i Kaunitza. P. Schlesinger oświadczył, że na żądanie przywrócenia czeskiego prawa państwowego Niemcy pod żadnym warunkiem zgodzić się nie mogą. Co się zaś tyczy innych zażaleń czeskich, to przecież uwzględniono je w punktacyach ugodowych, które młodoczechów takim wstrętem przejmują. Przy dobrej woli jednak i wzajemnej tolerancyi porozumienie się obu narodów zawsze jeszcze jest możliwe, a zwłaszcza pod znakiem koalicyi. Hr. Palffy upominał młodoczechów, aby się opamiętali i zwrócili na pokojową drogę. Dalszy ciąg debaty odbędzie się dzisiaj.

Paryż 13 lutego. Prezydent Faure wysłał do Cesarza austryackiego do Mentony telegram, w którym wita go na ziemi francuskiej, załącza Cesarzowej jak najuniżeńszy hołd i prosi Cesarza, aby wierzył w szczerość jego uczuć przyjaźni.

W godzinę później nadszedł od Cesarza telegram, w którym Cesarz dziękuje Faure'owi za powitanie i zapewnia go o swej przyjaźni i szacunku — i w końcu oświadcza, że oboje Cesarstwo wielce radzi są z tego, że znów znajdują się na ziemi francuskiej.

Arco 13 lutego. Arcyksiążę Albrecht ma się coraz lepiej.

Zadar 13 lutego. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu odczytał marszałek telegram Cesarza, wysłany z przylądka św. Marcina, w którym Cesarz dziękuje za onegdajszą lojalną manifestacyę sejmu dalmatyńskiego.

Następnie zamknięto sejm wśród entuzyastycznych okrzyków na cześć Cesarza.

Mentona 13 lutego. Cesarz przybył tu wczoraj o godzinie 11-tej rano osobnym pociągiem. Na dworcu oczekiwała go Cesarzowa, tudzież naczelnicy władz miejscowych. — Cesarz przywitał się serdecznie z Cesarzową, uściskał ją i ucałował kilkakrotnie, rozmawiał następnie z prefektem, poczem w otwartym powozie pojechał z Cesarzową do hotelu. Na drodze zebrały się ogromne tłumy ludzi i witały Monarchę z największem uszanowaniem.

Mentona 13 lutego. Cesarz zamieszkał w tych samych pokojach, w których w roku ubiegłym. Wczoraj po śniadaniu odbył Cesarz w towarzystwie Cesarzowej długą przechadzkę.

Bregencya 13 lutego. Po ośmiogodzinnej debacie przyjął sejm przedłożenie rządowe o obronie krajowej.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 12 lutego. S. Fihauser z Brusnika. F. Krasucki z Brodow. W. Stachowski z Setyweczyna. M. Bogdańska z Władypola. W. Szczepański z Ropczyc. D. Korkus z Wiednia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 13 lutego (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 219·50 do 222·50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 299.— do 302·—, Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 450.— do 460.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic 5 proc. los. w 40 lat. 101·30 do 102·—, 5 proc. z 10 proc prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— 100·70, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·70 do 101.40, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·30 do 98·— Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·30 do 99·—, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97·80 do 98·50, 4 proc. los. w 56 lat. 97·50 do 98·20.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc 97·10 do 98·50 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.00 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 —·—, 4 pół proc. 100.— do 100.70, 4 proc. z r. 1891 97.80 do 98·50, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·— do 98·70.

Monety. Dukat cesarski 5·78 do 5.88, Napoleondor 9.79 do 9.89, P. imperyał 10.10 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.28 do 1.33, 100 marek niemieckich 60.50 do 61·—.

Wiedeń 12 lutego. Notowania wieczorne. Kredyty 414·62, węgierskie kredyty 503.75, anglobank 183·50, bankverein 161·20, uniony 325·75, länderbank 284·90, akcye kolei państwowych 397·62, lombardy 106·—, elbethal 278·25, akcye tytoniowe 242·—, rima 286.—, alpiny 91·—, renta majowa 101.37, węg. renta złota 114·85, austr. renta koronna 100·20, węgierska renta koronna 99·30, losy tureckie 73·60, marki 60·88, ruble 133·—.

Wiedeń 13 lutego (godz. 11 w połudn.) Kredyty 414.35, kred. węg. —.—, Anglobanki 183.50, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 284.90, Akcye tyton. 242.—, Staatsbahny 397.75, Lomb. (z kup.) 106.25, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —·—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.75, Losy tureckie —·—.

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłomaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Gracya stała na przenośnych schodkach, z których fałdy jej sukni miękko spływały ku ziemi, z głową lekko w tył przechyloną tak, że śliczna, słodko uśmiechnięta twarz jej ukazywała się w pełnem świetle, z łabędzią szyją wysuwającą się z fali bogatych, weneckich koronek, z podniesionemi w górę białemi rękami, któremi przytwierdzała po nad lustrem wlokącą się po ziemi długą girlandę zieleni. Któż mógł oprzeć się wszechpotężnemu urokowi tej promiennej piękności, połączonej z takim wdziękiem i pociągającą słodyczą? Ona sama, jakby zamagnetyzowana, wzroku od niej oderwać nie mogła, choć czarne jak piekło jej źrenice takim żarem nienawiści obejmowały postać rywalki, jakby trujem chciały położyć ją na miejscu.

A Gracya, nieświadoma zgoła mimowolnego hołdu, jaki jej składały oczy współzawodniczki, śledząc zazdrośnie każdy ruch jej z za okna, pracowała dalej nad świątecznem przystrojeniem salonu, dziwiąc się, dlaczego Andrzej odjechał w samą wigilię Bożego Narodzenia i niepokojąc się nieco, aby go jaki przypadek nie opóźnił w drodze. Nie przeszło jej nawet przez myśl, że szczęściu jej zagraża jakieś niebezpieczeństwo. Czuła się wesołą i szczęśliwą, a gdy szyba zadrgała lekko potrącona gałązką sosny, wyjrzała w noc ciemną, a potem rozkoszując się otaczającem ją ciepłem i światłem, z uśmiechem rozradowania zwróciła się do kominka. Zabrawszy się napowrót do roboty, zaczęła śpiewać ludową jakąś kolendę, której zawtórował chór głosów wszystkich zebranych w salonie osób.

Naraz oczy Renaty rozwarły się szeroko, serce gwałtownie uderzyło w piersi, a potem jakby nagle bić przestało. Uchwyciła się silnie gałęzi drzewa, aby nie upaść na śnieżne puchy, ścielące się w ukośnem promieniu światła płynącego z sali. Mężczyzna jakiś cichemi kroki, stłumionemi puszystym dywanem, wszedł do pokoju i niepostrzeżony stanął za ekranem, wpatrując się w odwrócony profil Gracyi z wyrazem niewysłowionego a bolesnego zachwytu.

— Mężu! mężu mój! — jęknęła nieszczęsna kobieta, zataczając się pod pień drzewa i wyciągając w próżni ramiona.

Gracya odwróciła się, aby zejść ze schodków, gdy naraz spostrzegła Andrzeja. Oczy jej zabłysły radością, rumieniec wystąpił na jej lica rozpromienione szczęściem: wyciągnęła do niego obie dłonie, które on drżący pochwycił i zgniótł niemal w swoich. Stali tak chwilę naprzeciw siebie w czerwonej łunie ogniska, oczyma tonąc w oczach. Nagle Andrzej puścił jej ręce, takie białe, drobne, delikatne rączki, pomyślała z zazdrością Renata, porównywając je w myśli do swoich własnych, szorstkich i spracowanych i cofnąwszy się w tył, w niemym paroksyzmie bólu zacisnął obie swoje dłonie.

Trwało to chwilę tylko. Nagle lwim ruchem odrzucił w tył głowę i jakby niezdolny zapanować nad sobą, postąpił szybko naprzód, pochylił się, chwycił w objęcia smukłą postać dziewczęcia, przytulił ją do piersi i gorący pocałunek wycisnął na jej ustach.

Renata patrzyła, czując, że coś tam zamiera jej w piersi i że pękają ostatnie ogniwa przeszłości. Pijana bólem i szałem chciała krzyknąć, a nie mogła. Zauważyła, że mąż jej był silnie wzburzony i zdawał się ciężko pasować z samym sobą, wtedy, gdy kobieta spokojnie i serdecznie odpowiadała na jego pieszczoty, jako snadź nawykła już do nich. Och! czemuż te płomienie nie ogarną ich obojga i nie obrócą w popiół, czemu dach niezapadnie się nad ich głowami, święta ziemia żywcem ich nie pochłonie! Brała ją szalona chęć pięścią wytłuc szybę i wpaść pomiędzy nich i przekląć ich oboje u tego znieważonego domowego ogniska. Przez chwilę krwawe jakieś widziadło zamajaczyło przed jej oczami i piekło buntu zawrzało w jej w piersi. A tymczasem ci kochankowie spokojnie usunęli się na ubocze, a inne postacie przesuwać się zaczęły przed kominkiem, na który dorzucono grubą wiązkę świeżych drewek. Służba zaczęła zapalać lampy i zapuszczać firanki u okien, z wyjątkiem tego jednego, w którem skupiła się gromadka dzieci, wyglądając w noc ciemną. Za dziećmi przyszli i starsi, rozmawiając snadź o niepogodzie, bo trzechletni chłopczyna wyciągnął znienacka pulchne rączki do burzy szalejącej na dworze, wyrywając się z objęć matki, która mu zapewne opowiadała, że te białe, wirujące w ciemności puchy, to piórka opadające ze skrzydeł aniołków bożych i białe kwiatuszki lecące z nieba dla grzecznych dziatek. A biedna matka, przyparta wśród mroków do pnia sosny miotanej północnym wichrem, uczuła błogosławioną moc tych dziecięcych rączek, wyciągających się bezwiednie w jej stronę. Zdawało jej się, że dotykają one ze współczuciem krwawiącej się rany jej serca i sączą na nią balsam pociechy. Tak i rączki jej własnej córeczki tuląc się do jej piersi wyciągały z niej nieraz nagromadzoną tam gorycz. I naraz wściekłość jej rozpaczy opadła, ustępując miejsca głębszemu, cichszemu, beznadziejnemu bólowi. Jad wyrwany został z blizny, ale rana krwawiła się coraz mocniej.

Czyż mogło być inaczej? Powinna to była przewidzieć od początku. Sama widziała dzisiaj, jak nieodpowiednią towarzyszką była dla swego męża, wtedy, gdy tamta, ta wielka pani, posiadała wszystko, aby zjednać jego serce. Ona to nieboga, przez miłość swoją szaloną zawiązała mu życie i zniweczyła szczęście.

Był za wielkim, za mądrym, za dobrym dla mnie — pomyślała z pokorą i westchnęła wspomniawszy na Hoela Callocka, od którego brutalnej pięści Andrzej wyswobodził ją niegdyś. Tamten prostak, którego miłość dziką była jak i jego nieokiełznana natura, odpowiednim był mężem dla takiej chłopki jak ona.

Wicher, rozpasany po polach i uginający coraz niżej konary drzew parku, białym tumanem śniegu przysłonił okno, zakrywając przed znużonemi oczyma Renaty cichy obraz rodzinnego szczęścia. Jakiś ciężar nieznośny zaczął tłoczyć jej głowę, mrocząc chaotycznie jej myśli; we wszystkich członkach czuła ociężałość wielką i chęć spoczynku. Naraz przypomniała sobie pewną burzliwą noc, która ją zaskoczyła niegdyś w łodzi na pełnem morzu. Odpięto żagiel, bracia wzięli się do wioseł, a ona stanęła przy rudlu. Wzdęte fale, piętrząc się dokoła, otaczały ich zewsząd wieńcem ruchomej piany, białej jak ta zamieć wirująca teraz dokoła niej. Nagle płatki śniegu znikły gdzieś z przed jej oczu, przeistaczając się w białe, wiosenne kwiecie majowych jabłoni, sypiących wonnym deszczem listków na zieloną murawę bretońskiego sadu i na postać idącego ku niej z uśmiechniętą twarzą pięknego panicza. I znów kwiecie znikło, a gorące promienie słońca sącząc się przez konary drzew, oświeciły jaskrawe stroje weselnej drużyny, tańczącej gawota w cieniu stuletnich dębów. Nagle ze śnieżnego kielicha lilii, czy też może z iskrzącego się brylantowo stalaktyku wyjrzała ku niej z mroku różowa, uśpiona twarzyczka niemowlęcia. I jakiś wielki spokój, jakby błogosławieństwo niebios zstąpił do jej uciszonego nareszcie serca. Wszak to słońce mieniło się tak krwawo w blaskach płynących z tego okna. Burza ucichła, tumany rozwiały się i grupa osób zebranych w salonie znów jasno przedstawiła się oczom wygnanki.

Jaki piękny widok tworzyły te trzy następujące po sobie pokolenia! Dziadek o wyniosłej postaci i wojskowym wyglądzie; babka o szlachetnej, pociągającej twarzy, noszącej ślady dawnej piękności, z lekko przypruszonemi siwizną włosami pokrytemi koronką, trzymająca na kolanach uśpionego wnuka, którego starszy braciszek leżał na niedźwiedziej skórze z rączką zarzuconą dokoła szyi wielkiego ulmskiego doga; młoda matka i jasnowłosy ojciec a w głębi tych dwoje kochanków, odosobnionych nieco od reszty i wyłącznie zajętych sobą. Andrzej, siedząc opodal kominka, trzymał rękę opartą na aksamitnej poręczy fotelu, w którym lekko przechylona w tył spoczywała Gracya. Oczy jego z uwielbieniem wpojone w nią zdawały się nic nie widzieć dokoła. Chłonęły one wdzięk tej uroczej postaci o czystym profilu i harmonijnych linach. Naraz piękna panna drgnęła lekko; on zaniepokojony pochylił się ku niej, zapytał ją o coś, potem wstał pośpiesznie i przyniósłszy szal, otulił ją troskliwie w białe, miękkie fałdy wschodniej tkaniny. A kobieta drżąca z chłodu wśród zimowej zamieci patrzyła na to oczyma, w których zakrzepły łzy bólu i z goryczą myślała, że te same dłonie, które ukochaną tak starannie chroniły od najlżejszego przewiewu powietrza, ją, wzgardzoną, wygnały z tego raju rodzinnego szczęścia, skazując na tułanie się po świecie.

Jeden z chłopców wskazał na szablę wiszącą na ścianie. Młody żołnierz zdjął ją i ku wielkiej uciesze dzieci, jął nią wykonywać różne sztuki i cięcia. Stalowe błyski zachwytując czerwoności od ognia, wężowe sploty zakręcały w powietrzu. Siwowłosy dziadek uśmiechnął się do dawnych wspomnień młodości i ulegając prośbom młodzieży garnącej się do jego kolan, jął opowiadać różne epizody z przebytych wojen. Wszyscy słuchali chciwie, a wzrok ślicznej dziewczyny jaśniał zapałem pięknych czynów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni zak. W. Manieckiego, Zarządca W. Hodek.